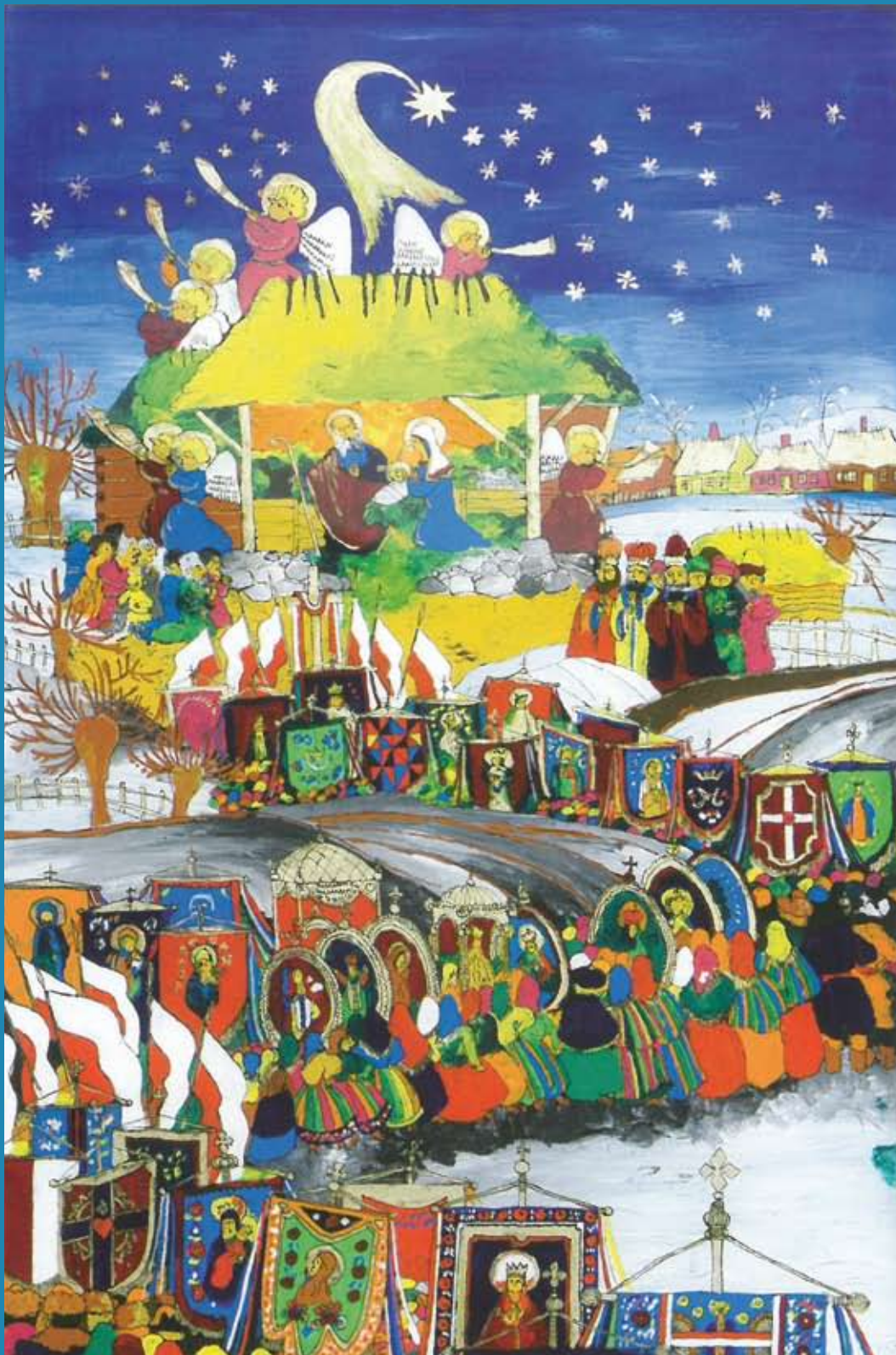




BRAMY POWIATU



BRAMY POWIATU

KWARTALNIK NR 4(15)

CIECHANÓW 2022



Ks. kanonik Jarosław Arbat – absolwent Wyższego Seminarium Duchownego w Płocku, od 2012 r. proboszcz parafii pw. św. Zygmunta w Opinogórze.

Anna Bartoń – absolwentka kierunku Turystyka i Rekreacja na AWF, kierownik Wydziału Promocji w Starostwie Powiatowym w Ciechanowie.



Grażyna Czerwińska – absolwentka etnografii na UW, pracownik Wydziału Promocji i Polityki Społecznej w Starostwie Powiatowym w Ciechanowie.

Dr Tomasz Czerwiński – etnograf, Szkoła Główna Turystyki i Hotelarstwa Vistula w Warszawie.



Ewa Gładysz – koordynator Powiatowego Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Ciechanowie.

Ks. prałat dr Ireneusz Wrzesiński – wieloletni proboszcz i dziekan ciechanowskiej fary, studiował teologię dogmatyczną na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, doktorat uzyskał w Akademii Teologii Katolickiej.



Wydawca:

Starostwo Powiatowe w Ciechanowie
ul. 17 Stycznia 7, 06-400 Ciechanów
www.ciechanow.powiat.pl
ISSN 2657-7615

Skład i druk:

Drukarz Sp.j.
ul. Towarowa 2, 06-400 Ciechanów
tel.: 23 672 71 12; www.drukarz.net.pl

SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI.....	5
<i>Grażyna Czerwińska</i> Z KART HISTORII.....	6
<i>Ks. Jarosław Arbat</i> Z MOICH WSPOMNIENÍ.....	8
<i>Anna Bartold</i> BARTŁOMIEJ ZWIASTUJE, JAKA JESIEŃ NASTĘPUJE.....	11
<i>Grażyna Czerwińska</i> Z HISTORII POCZTY.....	13
<i>Ewa Gładysz</i> CIECHANOWSCY SENIORZY WSPOMINAJĄ.....	18
<i>Ks. Ireneusz Wrzesiński</i> DZIAŁALNOŚĆ CHARYTATYWNA I OŚWIATOWA W PARAFII FARNEJ W CIECHANOWIE. SZKIC HISTORYCZNY Z OKRESU OD XVI DO XX WIEKU.....	25
<i>Tomasz Czerwiński</i> Z ETNOGRAFICZNEJ TEKI KOGUT I KURA.....	33





OD REDAKCJI

Dobiega końca 2022 rok, który zamykamy kolejnym numerem naszego kwartalnika „Bramy Powiatu”. Jak zwykle, koniec starego i początek nowego roku skłaniają do refleksji, podsumowań i snucia planów na przyszłość. Przed nami Święta, życzenia, plany na przyszłość i nierozzerwalne z czasem świąt wspomnienia o Tych najważniejszych, ale dziś już nieobecnych...

Na stronach Bram Powiatu, podobnie jak w życiu - w tym roku dużo się działo. Przypomnieliśmy fascynujące historie naszych mieszkańców, ciekawe a może nieco zapomniane wydarzenia i miejsca oraz postaci tych, którzy przed dziesiątkami lat żyli i pracowali na ziemi ciechanowskiej...

Przeszłość nieustannie spleta się z terażniejszością, jednocześnie jest kluczem do przyszłości, dlatego mogę zapewnić, że na łamach naszego kwartalnika w kolejnym roku znowu będzie dużo historycznych wspomnień, opowieści i ciekawostek. Nie chcemy, aby ludzie i fakty związani z naszym Powiatem odeszli w niepamięć, a czas pokrył przeszłość pyłem zapomnienia... Jak trafnie powiedział Marszałek Piłsudski, „kto nie szanuje i nie ceni swej przeszłości, nie jest godzien szacunku terażniejszości i nie ma prawa do przyszłości”.

W kolejnych numerach naszych Bram będziemy się starali w dalszym ciągu otwierać przeszłość, wracać do wspomnień, przypominać minione sprawy...

Na nadchodzące najpiękniejsze, rodzinne Święta Bożego Narodzenia życzę Państwu wszystkiego, co najlepsze - zdrowia i wszelkiej pomyślności. Niech Nowy Rok przyniesie same dobre dni, pełne radości i życzliwości, a lektura kolejnych numerów Bram Powiatu niech będzie dla Państwa miłym odpoczynkiem.

Bo przecież nie ma jutra bez wczoraj...

Starosta Ciechanowski

Z kart historii



Kargoszyn

„Goniec Mazowiecki – gazeta tygodniowa dla wszystkich”, wydawany w Ciechanowie na teren Ciechanowa, Mławy, Makowa, Płońska, Przasnysza i Pułtuska w latach 1923-24, donosił:

✕ ✕ ✕

Katastrofa „kolejkowa”. Przed paru dniami, przy zbiegu ulic Fabrycznej i Kolejowej, nastąpiło zderzenie się dwu pociągów towarowych kolejki wąskotorowej Ciechanów – Grudusk. Katastrofa na szczęście obeszła się bez ofiar w ludziach, co przy znacznym ruchu pieszym w tym miejscu łatwo mogło nastąpić. (Nr 5, 1923)

✕ ✕ ✕

Niniejszym mam zaszczyt zawiadomić Szanowną Publiczność, że przy mojej Cukierni i Restauracji p.f. „Gastronomia” w Ciechanowie przy ul. Kościuszki 15, gdzie wydaję wyśmienite i tanie śniadania, obiady i kolacje, otworzyłam specjalny gabinet dla Członków Redakcji i Komitetu Redakcyjnego „Gońca Mazowieckiego”. Z poważaniem Maria Nawrocka. Uwaga: Do gabinetu tego mają wstęp wyłącznie osoby wprowadzone przez redakcję. (Nr 5, 1923)

✕ ✕ ✕

Pragnę zapoznać się z osobą dojrzałego wieku, sympatyczną i dobrą kobietą, któraby w życiu małżeńskim chciała znaleźć szczęście. Jestem mężczyzną w sile wieku, uczuciowym, podobno przystojnym, jeszcze nie łysym i zamożnym. Łaskawe oferty sub.: „Samotny wdowiec Nr 100” proszę nadsyłać do Redakcji w Ciechanowie, skrzynka pocztowa Nr 9. Absolutną dyskrecję zapewniam słowem honoru uczciwego człowieka, za jakiego mnie powszechnie uważają. (Nr 5, 1923)

✕ ✕ ✕

Panna lat 25, wykształcona, pracowita, gospodarna, pragnie nawiązać znajomość z sympatycznym kawalerem, któryby nie stronił od założenia ogniska domowego. Bliższych o sobie szczegółów udzielę po otrzymaniu odpowiedniej oferty pod godłem „Powojka”, Redakcja Gońca Mazowieckiego, Ciechanów. (Nr 5, 1923)

✕ ✕ ✕

Młody jestem, mam posadę IX kat., ale brak mi odwagi i mieszkania. Ożenię się z panią przywoitą, któraby mnie zachęciła i która ma mieszkanie i cokolwiek, prócz wyprawy. Oferty – do Redakcji Ciechanów, sub. „Nieśmiały”. (Nr 5, 1923)

✕ ✕ ✕

Z ostatniej chwili. „Królewianka”. W dniu 16 b.m. nastąpiło otwarcie przez władze administracyjne Ciechanowskiej Fabryki Wódek i Likierów p.t. „Królewianka”. Jednocześnie ks. kanonik Jankowski dokonał poświęcenia zakładu przy udziale kilkunastu gości. Koncesjonariuszką i współwłaścicielką fabryki jest p. Jadwiga Paszkowska, córka śp. generała Paszkowskiego, zakładnika polskiego, który

zginął męczeńską śmiercią w czerezwyczajce moskiewskiej; dwaj bracia koncesjonariuszki śp. Wacław i Tadeusz Paszkowscy, oficerowie polscy, polegli w r. 1920 na polu chwały. Wspólnikami p. Paszkowskiej są p. Adela Hryniewiczowa i jej małżonek, p. Piotr Hryniewicz, znany artysta teatrów stołecznych, który w ciągu ostatnich kilku lat zajmował stanowisko dyrektora teatru miejskiego w Toruniu. Obecnie, nie zaniechawszy umiłowanej sceny, p. Hryniewicz rzucił na pole przemysłu rodzinnego swoje oszczędności i wspólnie z dymisjonowanym rotmistrzem ułanów p. Wincentym Braulińskim powołał do życia szczerze polską placówkę przemysłową. Zasłużonym dla Ojczyzny i sztuki współwłaścicielom „Królewianki” szczerze życzymy powodzenia i na tem polu. (Nr 3, 1924)



Fabryka Wódek i Likierów „Królewianka” w Ciechanowie, przy ul. Warszawskiej Nr. 39 zostanie uruchomiona w dniach najbliższych. O terminie rozpoczęcia ekspedycji zamówień nastąpią oddzielne zawiadomienia. (Nr 3, 1924)



Dla młodej panienki, brunetki, muzykalnej i inteligentnej, władającej językami obcymi, przystojnej i poważnej, pragnę wybrać odpowiedniego kandydata na męża. Mojej siostrzenicze podobać się będzie ten, który posiadając męską, nie lalkowatą urodę oraz stanowisko, zdoła podbić jej serduszko szczerą, nie obłudną duszą i zaletami trzeźwego umysłu, prawością charakteru i prawdziwym uczuciem. Oferty proszę nadsyłać do Redakcji, Ciechanów, sub. „Wujaszek”. (Nr 5, 1924)



Mam lat 23, urodę (podobno niepoślednią), małą piękną córeczkę i nieco osobistego majątku. Wydano mnie za mąż przed pięciu laty; obecnie jestem w końcowej fazie procesu o unieważnienie małżeństwa. Pragnę niezwłocznie wyjść za mąż powtórnie i znaleźć w drugim

małżonku zdrowe ciało i zdrową duszę przede wszystkim, a następnie subtelne ukochanie istoty, która pięć lat w cięższej niż bolszewicka niewoli przebywała. Kto z panów solidnych i uczuciowych zechce mnie pocieszyć, proszę o nadesłanie oferty Ciechanów, skrzynka Nr 9, Redakcja dla „Rozwódki”. (Nr 5, 1924)



Referent poważnej instytucji powiatowej, przeszedłszy w stanie kawalerskim Rubikon lat czterdziestu, posiadający zasoby materialne w walorach, pragnie się ożenić z niewiastą miłą, przystojną, wyrozumiałą, poważnie traktującą instytucję małżeńską oraz godność zacnego ogniska domowego. Tylko takie reflektantki raczą przesłać swoje oferty dla „Starszego kawalera” pod adresem Redaktora Oddziału „Gońca Mazowieckiego” w Płońsku, Dr. Szpakowskiego. Absolutną dyskrecję zapewniam i również o nią upraszam. (Nr 5, 1924)



Buchaltera, człowieka starszego, zrównoważonego, skromnych wymagań przyjmie Spółka Akcyjna. Prócz pensji – pokój i dodatki w naturze. Szczegółowe oferty z odpisami rekomendacji proszę składać w Redakcji Głównej „Gońca Mazowieckiego” w Ciechanowie, sub. „Buchalter”. (Nr 4, 1924)



Kondycji na lato lub na stałe poszukuje na wsi młoda osoba z praktyką nauczycielską do młodszych dzieci. Mogę również przyjąć obowiązki bony. Łaskawe oferty – Redakcja „Gońca” Ciechanów dla A.A. (Nr 9, 1924)



Karbowego, człowieka starszego, przyjmie zaraz majątek Sońsk (pow. ciechanowski, st. kol. Gąsocin). Mieszkanie, opał, utrzymanie dwóch krów, drzewa 12 metrów, pensja i ordynacja – do umowy. (Nr 9, 1924)

Wybrała Grażyna Czerwińska

Z MOICH WSPOMNIENI...

Przeczytałem kiedyś słowa francuskiej współczesnej pisarki Theresy Revay – „Spotkania wytyczają drogę ludzkiego losu, niezależnie od tego czy trwają kilka godzin, dni, czy całe życie”. Pomyślałem sobie: pewnie tak jest, jesteśmy jak będące w ciągłym ruchu małe, rozbiegane w różne strony cząsteczki. Czasami zderzamy się ze sobą zadając ból, odbijamy się raniąc przypadkowych ludzi. Czasami mijamy, tak jakbyśmy się nie zauważali, a bywa i tak, że ciągnie nas do siebie jakimś przedziwnym magnetyzmem serca, że chcemy być ze sobą tak blisko jak tylko się da (sami nie wiedząc czy to jest miłość, przyjaźń czy kochanie). Lecz zdarza się i tak, że spotkamy osobę, przed którą zatrzymamy się w zadumie i dalej chcemy stać się jej uczniem – jakby naturalnym satelitą - wpatrzonym w wielkość swej gwiazdy. Tak było i ze mną. Spotkałem świętego człowieka (właściwie myślę, że dane było mi spotkać wielu świętych, fascynujących ludzi). Dziś opowiem o jednym.

Karol Wojtyła. Jan Paweł II,
święty Jan Paweł II.

Miałem 12 lat. Pamiętam, jak ojciec wszedł wyraźnie podekscytowany do kuchni

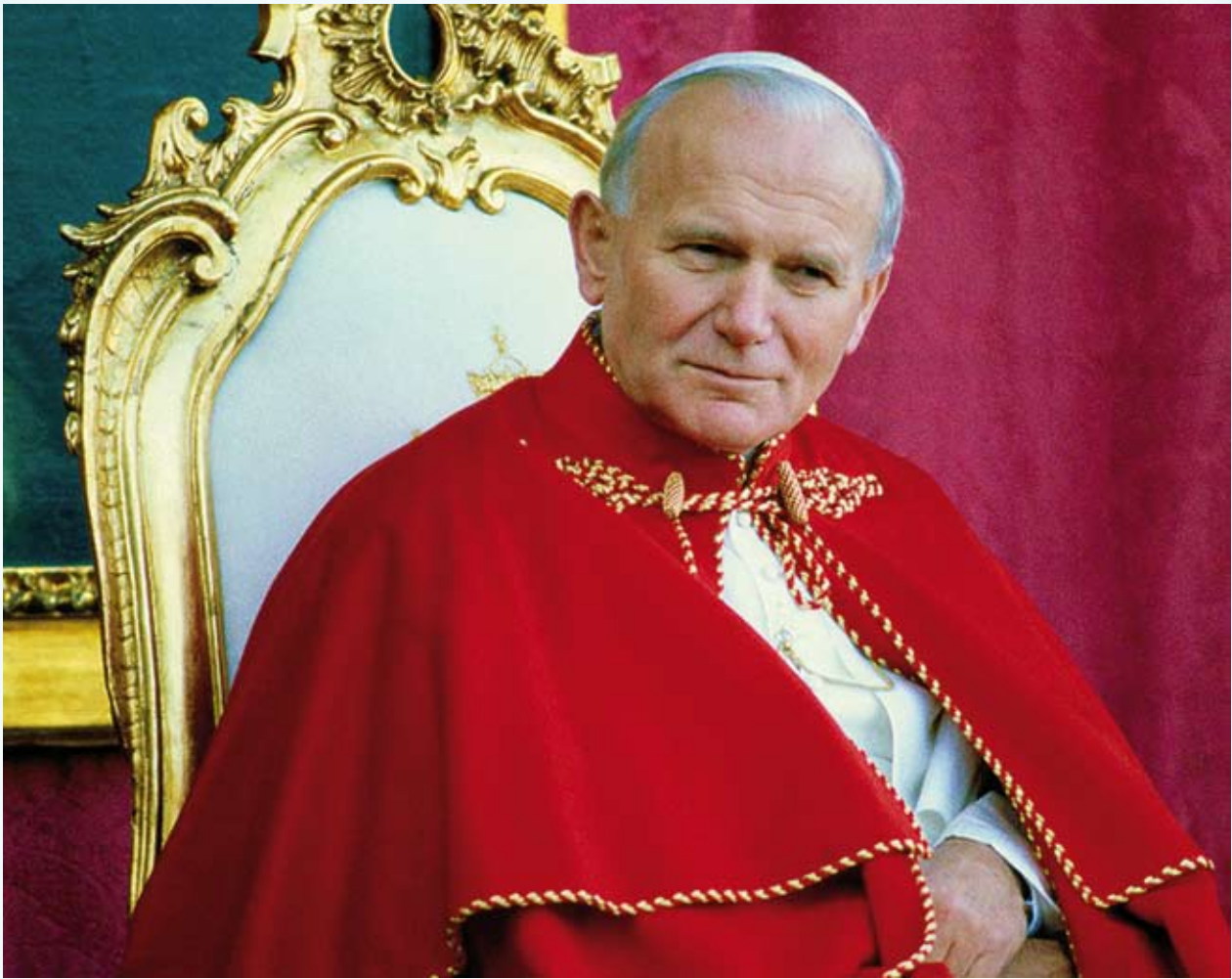


Konklawe w 1978 r.

i powiedział do matki – Stenia, Polak został papieżem! Nie, niemożliwe – odpowiedziała mama. A jednak... dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych. Jaka była wówczas Polska – z perspektywy czasu dość ponura, bezbarwna lub co więcej jednobarwna. Wyrwaliśmy się z niemocy – że się nie da. Pokątnie szeptano o zdławieniu powstania na Węgrzech, wstydzono się interwencji w Czechosłowacji. Sklepy przypominały z każdym rokiem – wystawę pustych półek i „frasobliwych kolejek madonny”, jak śpiewał Lombard. W pierwszych spotkaniach z papieżem nie uczestniczyłem – nie było to takie proste – ale świadomość, że On tam jest i myśli o nas sprawiała, że duch w nas robił się coraz bardziej wolny i swoiście krnąbrny. Można inaczej!

Pamiętam wybuch stanu wojennego - 13 grudnia 1981 roku. Za ścianą, w sąsiednim mieszkaniu mieszkał młody człowiek. Był kierownikiem gminnego ośrodka kultury. Fascynował młodzież swoją otwartością – dane było mi (choć byłem za mały, ale uczepiłem się jak smarkacz starszego brata) w jego mieszkaniu, siedząc na skrzynkach po jabłkach (mebli nie było) słuchać zachodnich płyt. Czasami dawał do poczytania jakieś drukowane pisemka, zakazane przez komunistów książki. Zniknął gdzieś w te grudniowe dni, nie zabierając nawet własnych rzeczy. Mieszkanie po nim dano nowemu komendantowi milicji. Znów było ciemno.

W międzyczasie zdałem maturę. Rozpocząłem naukę w Medycznym Studium Zawodowym w Toruniu – Wydział Pracowników Socjalnych. Był czerwiec roku 1987 - moja parafia w Kowalewie Pomorskim organizowała wyjazd na spotkanie z papieżem do Gdańska,



Jan Paweł II

na Zaspę. Pojechałem wraz z bratem. Przewodnikiem w naszym autokarze była siostra elżbietanka Monika (zakrystianka) – mój Boże, jak ona lubiła śpiewać i jaki miała silny głos, a jak w dodatku fałszowała!!! – bez wątplenia „uświęcała” tym głosem, nie zamilkła na chwilę do samego Gdańska. Podróż z nią miała cechy męczeństwa.

Uważam, że ołtarz w Gdańsku na Zaspie był jednym z najpiękniejszych papieskich ołtarzy – w kształcie okrętu, a na mostku – On, Głowa Kościoła całego świata, który mówił do niezliczonego tłumu otoczonego kordonem milicji i ZOMO. Mówił o nas i za nas – gdy głosu nikt nam nie dawał. Powinniśmy szanować możliwość dokonywania wyborów, wypowiedania się, jako suweren korzystać z możliwości ustanawiania i rozliczania władz.

Czułem, jak pękają mury, kruszy się beton (Swoją drogą, czy gdy zabrakło Jana Pawła II nie pozwoliliśmy, by stwardniał na nowo?).

Piszę tu tylko o moich spotkaniach z Papieżem. A zatem, minęły cztery lata, czerwiec roku 1991 – byłem już na czwartym roku seminarium – spotkanie w Płocku. Może też byliście, pewnie wielu z was było razem ze mną. Czekaliśmy, pochmurny dzień, padał deszcz, biała komża przylepiła się do sutanny. Nagle dał się słyszeć głos lądującego helikoptera. Przejechał pośród nas. Długa Msza. O czym było kazanie, nie pamiętam – liczyło się tylko to spotkanie. Nawet deszcz przestał padać, wyschliśmy szybko. Później jeszcze wieczorne spotkanie przed pałacem biskupim, tak jak w Krakowie dialogowanie z młodzieżą z okna. Tak, młodzież była



Ołtarz papieski na gdańskiej Zaspie, 1987 r.



Jan Paweł II w Płocku, 1991 r.

z papieżem, a papież z młodzieżą – czy młodzież ówczesna pamięta!

Po święceniach kapłańskich nasz niezapomniany i niezrównany w swej pokorze opiekun kursowy ks. prof. Żebrowski „załadował” nas do ośmioosobowych dostawczaków i pojechaliśmy do Rzymu. Zapach Wiecznego Miasta, krzyczące statecznością wieki historii i ja, świeżo „upieczony” ksiądz z Polski, dzięki łasce chrztu i papieżowi Polakowi czułem, że mam tu swoje miejsce. Kolejne Bazyliki i wzgórza, Awentyn, Lateran, Kwirynał, Watykan. W oknie papieskiego pałacu świecące się światelko. „Patrzcie, to tam. To Jego prywatne apartamenty, jeszcze nie śpi – jakby czuwał nad światem”. Któregoś dnia pobytu zakomunikowano nam – jutro o świcie msza święta w kapicy papieskiej koncelebrowana z Ojcem świętym. Zaspani, poszliśmy. Długo korytarze za Spizową Bramą, salutujący gwardziści szwajcarscy. Kaplica, paru księży, parę osób świeckich. Dowiadujemy się, że z racji międzynarodowego towarzystwa będziemy odprawiać po łacinie. Dobrze, łatwo nie będzie, ale jakoś sobie poradzimy. Gorzej było z udziałem wiernych świeckich – jedna pani, bardzo chcąc uczestniczyć we mszy, gdy tylko następowwała mała przerwa mówiła „amen”.

Po mszy świętej indywidualne spotkanie, spojrzenie w oczy, uścisk dłoni i pamiętkowy

różaniec. Tak bardzo przejąłem się otrzymanym od Ojca świętego różańcem, że modląc się na nim - szybko go porwałem, ale nie szkoda, bo po to go pewnie dostałem, aby go używać. Jeszcze raz razem z Wami, mieszkańcami ziem ciechanowskich, spotkałem się na pielgrzymce do ojczyzny z Janem Pawłem II w Warszawie, zdaje się że był to rok 1999. Z Ciechanowa na to spotkanie, połączone z beatyfikacją płockich męczenników Arcybiskupa Juliana Nowowiejskiego i biskupa Leona Wetmańskiego, ruszyło wiele autokarów. Ja pojechałem w tym z księdzem dziekanem Ireneuszem Wrześcińskim. Był upalny dzień. Pamiętam, że chorujący na serce ks. dziekan przytasczył sobie składane krzeselko, na którym ostatecznie siedziałem ja - bo zasłabłem. Nasz dziekan zaś stał twarde, wśród swoich. Dobrze być wśród swoich. Zawsze znajdzie się ktoś, kto cię podtrzyma. Myślę i ufam, że nadal tak jest.

Z niepokojem patrzyliśmy, jak nasz ojciec się pochyla, starzeje, choruje, natomiast my - wydawało nam się, że stajemy się silniejsi, jakbyśmy czerpali z Jego ducha. A później – cóż, płakałem, nad morzem świecących się lampek i zniczy. Płakałem i wielu z Was płakało ze mną. Gdy Pan stanął nad Brzegiem...

Ks. Jarosław Arbat

Fot. internet, domena publiczna

BARTŁOMIEJ ZWIASTUJE, JAKA JESIEŃ NASTĘPUJE...

Ten święty jest jednym z dwunastu apostołów. Ewangeliści wymieniają go pod dwoma imionami – właśnie jako Bartłomieja lub Natanaela. Po wnikliwych badaniach biblistów doszli do przekonania, że jego prawdziwe, pełne imię brzmiało Natanael Bar-Tholomai, co oznacza „Przez Boga dany syn oracza”. Bartłomiej pochodził z Kany Galilejskiej, był wykształcony, a uczeni w Piśmie przypuszczają, że to właśnie na jego weselu Jezus dokonał swego pierwszego publicznego cudu – zamienił wodę w wino. Wkrótce po tym wydarzeniu Bartłomiej dołączył do uczniów Chrystusa. Po Ukrzyżowaniu – tak jak pozostali Apostołowie – wyruszył głosić Dobrą Nowinę. Nauczał na terenie Persji i Mezopotamii, a także dzisiejszych Indii, Arabii Saudyjskiej i Etiopii. Około 70 roku dotarł również do Armenii, gdzie nawrócił i ochrzcił wielu, w tym brata królewskiego, oraz powołał Kościół. Pogańscy kapłani zemścili się za to. Pod pozorem zainteresowania nową wiarą zwabili go na dwór królewski, pojmali i torturowali. Bartłomiej został ukrzyżowany głową w dół i wystawiony na widok publiczny. Oprawcy zdierali z niego żywcem skórę, a on – mimo wielkiego cierpienia – spokojnie modlił się i swoim przykładem nawracał ludzi. W końcu, po kilkunastu godzinach, król – widząc odwrotny skutek kary od zamierzonego – rozkazał ścinać Bartłomiejowi głowę.

Według legendy, Bartłomiej pochodził z bogatego i znakomitego rodu, być może nawet był synem egipskiego króla Ptolomeusza, w każdym razie przysługiwało mu prawo noszenia purpurowego płaszcza. W młodości przez próżność nie chciał zrezygnować z tego przywileju. Wtedy Zbawiciel miał mu zapowiedzieć, że kiedyś będzie miał na sobie własną skórę – jako krwawy płaszcz.

Bartłomiej jest świętym kościoła katolickiego i prawosławnego. W kościele katolickim jego

święto liturgiczne obchodzone jest 24 sierpnia, a cerkiew wspomina go czterokrotnie. Ze względu na okoliczności męczeńskiej śmierci, św. Bartłomiej w ikonografii często przedstawiany jest w trakcie kary lub z kordelasem w ręku jako narzędziem, którym mu skórę obdzierano. Czasami przedstawiany jest jako postać obdarta ze skóry, z widocznymi mięśniami i ścięgnami, z płatem własnej skóry trzymanym w dłoni. Michał Anioł na fresku Sąd Ostateczny w Kaplicy Sykstyńskiej ukazał takie właśnie przedstawienie św. Bartłomieja, a na trzymanym przez niego płacie skóry umieścił swój autoportret.

Po śmierci ciało Bartłomieja przewieziono przez Mezopotamię i wyspę Lipari koło Sycylii do Benewentu – włoskiego miasta na południu



Św. Bartłomiej



Kościół w Zeńboku

Włoch. Cesarz Otto III przeniósł je do Rzymu, gdzie zostały umieszczone pod wielkim ołtarzem w poświęconej Bartłomiejowi bazylice, specjalnie wybudowanej w tym celu na wyspie na rzece Tybr. Jednak mieszkańcy Benewentu do dzisiaj zapewniają, że ich przodkowie oszukali cesarza i – zamiast ciała św. Bartłomieja – dali mu szczątki św. Paulina z Noli. Jak było naprawdę, nikt chyba dzisiaj nie jest w stanie sprawdzić. Jedyne relikwie świętego w Polsce, sprowadzone w sierpniu 2015 r., znajdują się w sanktuarium Matki Sprawiedliwości i Miłości Społecznej w Piekarach Śląskich.



Kościół w Zeńboku

Św. Bartłomiej jest patronem wielu rzemieślników, zwłaszcza związanych z pozyskiwaniem i obróbką skór, a więc: rzeźników, garbarzy, szewców, siodlarzy, introligatorów, a także krawców, górników, tynkaczy, sztukatorów

i piekarzy. Jest również patronem grzeszników. Za swojego szczególnego opiekuna uważają go bartnicy i pasterze, rolnicy i grzybiarze oraz właściciele winnic. Wzywany jest w przypadku chorób nerwowych, konwulsji i różnych chorób skórnych. We Florencji św. Bartłomiej jest czczony jako patron sprzedawców oliwy, serów i soli.

W Polsce kult św. Bartłomieja odnotowano już w XII wieku, a w kolejnych wiekach poświęcono mu wiele kościołów. W pow. ciechanowskim pod jego wezwaniem jest kościół parafialny w Zeńboku, gdzie wizerunek świętego znajduje się w ołtarzu głównym. W kalendarzu imię Bartłomiej występuje kilkanaście razy, a najbardziej popularne jego zdrobnienie w formie „Bartosz” przez wieki było w Polsce jednym z najpowszechniejszych imion. Bartłomiej doczekał się również upamiętnienia w wielu przysłowiach, jak np.: „Powiedział Bartek, że dziś Tłusty Czwartek, a Bartkowa uwierzyła, furę pączków usmażyła”; „Na św. Bartłomieja mroźnej zimy jest nadzieja”; „Na św. Bartłomieja otwiera się siew i knieja”.

Anna Bartoń

Fot. internet, domena publiczna

Z HISTORII POCZTY

Początki poczty polskiej sięgają czasów króla Zygmunta Augusta, który w 1558 roku ustanowił pierwsze stałe połączenie pocztowe między Krakowem i Wenecją przez Wiedeń. Cztery lata później władca powołał instytucję „poczty, czyli koni rozstawnych”, stopniowo poszerzającą sieć połączeń. Za czasów panowania Sasów bardzo ważne było utrzymanie komunikacji między Warszawą i Dreznem, odległymi przeszło 600 km. Konny kurier pokonywał ten dystans w trzy dni, a dylizans – w sześć. Dla ułatwienia orientacji na pocztowym trakcie rozpoczęto w tym czasie stawianie słupów, oznaczonych monogramem „AR” (Augustus Rex) oraz używanym do dziś znakiem poczty – trąbką pocztyliona. Słupy miały informować pocztylionów, pocztmistrzów oraz podróżnych o odległościach i czasie niezbędnym do ich przebycia. Dzielili się one na dystansowe, milowe, półmilowe i ćwierćmilowe, zróżnicowane wielkością i dekoracjami. Jedna mila pocztowa stanowiła odległość niewiele ponad 9 km, a goniec obowiązany był pokonać ją w ciągu dwóch godzin.

Największe były słupy dystansowe o wysokości 5 metrów, ustawiane na ważnych traktach przed bramami miast lub na rynkach. Były bogato zdobione barokowymi tarczami herbowymi Wettynów i Rzeczypospolitej, zwieńczonymi polską koroną królewską oraz posiadały informacje o odległościach do najważniejszych punktów. Zachowało się zaledwie kilka takich słupów, stanowiących dziś atrakcje turystyczne. Jedyne

oryginalny zachowany w Polsce jest w Lubaniu śląskim, w ostatnich latach pojawiają się też repliki – m.in. w Zgorzelcu i Kutnie.

W miarę upływu czasu poczta stawała się coraz bardziej niezbędna, a jej przedstawicielstwa powstawały w coraz większej liczbie miast. Instytucja utrzymywała konie i pojazdy dla przewożenia podróżnych, korespondencji i przesyłek, posiadała również budynki – zajazdy do przetrzymywania i zmiany koni oraz w razie potrzeby do noclegu podróżnych, a także zatrudniała ludzi do obsługi. Urzędnika mającego w swym zarządzie konie i pojazdy pocztowe, który gromadził przesyłki do wysłania i prowadził dystrybucję otrzymanej korespondencji, jednym słowem kierownika urzędu pocztowego zwano pocztalterem, pocztmajstrem lub pocztmistrzem.

Trudno powiedzieć, kiedy w Ciechanowie powstało takie stanowisko. Najstarsze dostępne źródła wymieniają Andrzeja Krajewskiego, burmistrza miasta Ciechanowa w latach 1805-1808, który po zakończeniu kadencji w magistracie przez kilka lat był pocztmistrzem, a następnie komornikiem obwodowym, egzekwującym wyroki sądu w Przasnyszu. Warto





Budynek ciechanowskiej poczty w czasie okupacji

dodać, że stanowisko pocztaltera było swoistą nobilitacją, a sam pocztmistrz był w środowisku lokalnym osobą poważaną ze względu na fakt, że reprezentował urząd państwowy. Kandydat wywodził się najczęściej z mieszczaństwa lub szlachty. Musiał być piśmienny, znający rachunki i wykształcony – wymagało tego stanowisko, a umiejętności te nie były wówczas zbyt powszechne.

Po Krajewskim przez blisko czterdzieści lat utrzymywał pocztę w Ciechanowie „sławetny Feliks Kozakiewicz”, zaliczany do „oficjalistów rządowych” – jak nazywano urzędników państwowych. Był to ogólnie poważany i szanowany obywatel miasta, zwany pocztmajstrem lub ekspedytorem poczty. O jego pozycji w mieście świadczy m.in. fakt, że świadkiem na jego ślubie w 1826 roku był „wielmożny Józef Manikowski burmistrz miasta Ciechanowa a były kapitan wojsk polskich”, a wśród chrzestnych jedenaściorga dzieci byli wyłącznie obywatele miasta posiadający domy (jak zaznaczano w aktach metrykalnych) lub ziemianie z bliskiego sąsiedztwa. Feliks Kozakiewicz wymieniany był jako zamożny właściciel domu, w którym zapewne mieściła się również siedziba ciechanowskiej poczty wraz z niezbędnymi kołmi i pojazdami na jej wyposażeniu. Przesyłki pocztowe z Ciechanowa wędrowały wówczas do miasta powiatowego (czyli do Przasnysza) i dopiero stamtąd były dalej ekspediowane zgodnie z wypisanymi adresami. Do naszego miasta poczta również

przychodziła poprzez Przasnysz. W pierwszej połowie XIX wieku konne karetki pocztowe pokonywały tę trasę regularnie raz w tygodniu, a w razie potrzeby kursowały częściej.

Następnym ekspedytorem ciechanowskiej poczty został zięć Kozakiewicza, Franciszek Grądzki. Pochodził on z Krzynowłogi Małej, był najpierw pisarzem ekspedycji pocztowej w Przasnyszu, a w 1861 roku po ślubie z Marianną, jedną z córek Kozakiewiczów zamieszkał w Ciechanowie. Przejął obowiązki ekspedytora po teściu Feliksie i pełnił je przez 30 lat. W 1874 roku Franciszek Grądzki zaliczany był do kategorii urzędników i tytułowany był jako „zarządzający ciechanowskim urzędem pocztowym”. Wszystkie stanowiska w Rosji carskiej w służbie państwowej obejmujące urzędników i oficerów, oddzielne dla służby cywilnej, wojskowej, morskiej i dworskiej już od czasu Piotra I (dokładnie od 1722 roku) podzielone były na czternaście stopni zwanych rangami lub czynami (stąd urzędników w języku rosyjskim nazywano „czynownikami”). Obowiązywały one przez prawie dwieście lat, aż do upadku caratu, chociaż wielokrotnie podlegały modyfikacjom. Każdy urzędnik, pretendujący do danego stanowiska rządowego, musiał przejść przez wszystkie niższe stopnie hierarchii – przynajmniej w teorii, bo w praktyce różnie bywało. W Królestwie Polskim urzędnicy – Polacy byli najliczniejszą grupą (powyżej 70% stanu zatrudnienia rządowego). Od czasu reformy administracyjnej w 1864 roku stworzone zostały listy urzędnicze, na które wpisywano osoby zakwalifikowane przez władze danej guberni do pełnienia służby



Goniec Mazowiecki nr 3, 1923

rządowej, począwszy od najniższej, XIV rangi (sekretarza miejskiego lub równorzędnego registratora kolegijskiego). Awans był możliwy jedynie po mianowaniu na wyższy stopień przez władze gubernialne, a od IX rangi radcy tytularnego wzwyż - przez samego cara, a raczej w jego imieniu. Dopiero awans powyżej 5 rangi umożliwiał dostęp do cara, ponieważ audiencji udzielano od „4 czynu”. Z listy urzędniczej wykreślano urzędników z powodu śmierci, „uwolnienia ze służby” na własną prośbę lub mianowania do innej guberni.

Jako ciekawostkę można podać, że na przełomie XIX/XX wieku w administracji carskiej były takie stanowiska urzędnicze, jak: pisarz akcyzy, strażnik skarbowych dochodów tabaczkowych, kancelista, dozorca policyjny, rewizor, podrewizor, regent kancelarii ziemiańskiej, inkwizent sądowy, instygator, konduktor drogowy, biuralista, dozorca straży karczemnej, pocztylion kantoru pocztowo–telegraficznego, urzędnik kantoru, naczelnik, kontroler i starszy kontroler etatowy zakładów gorzelanych, sekretarz kwaterunkowy, ławnik sądu gminnego, sędzia pokoju, członek dozoru kościelnego, starszy kandydat do posad sądowych, inspektor podatkowy, referent ds. wojskowo–policyjnych i referent ds. miejskich w zarządzie powiatowym, naczelnik straży ziemskiej, urzędnik nadetatowy do szczególnych poruczeń, nadzorca uczątkowy akcyzy od cukru, naczelnik stołu głównego zarządu rządowej sprzedaży trunków, młodszy kandydat do posad sądowych i wiele innych, mniej lub więcej dzisiaj niezrozumiałych.

Za czasów zarządzania ciechanowskim urzędem pocztowym przez Franciszka Grądzkiego

Z poczty. Zarząd poczt i telegrafów ogłasza, że z powodu wojny nie przyjmuje odpowiedzialności za przesyłki pieniężne do Stanów Zjednoczonych i Kuby.

Echa płockie i łomżyńskie nr 13, 1898

Marki pocztowe. W obec praktykowanego przez spekulantów oczyszczania marek, a następnie używania ich znowu do przesyłania korespondencji pocztowych, departament poczt zamierza wprowadzić nowy sposób kasowania tych marek. Mianowicie ma być używaną w tym celu pieczęć metalowa rozpalona w ogniu, po przyłożeniu której ślady opalenia marki pozostaną na zawsze.

Echa płockie i łomżyńskie nr 56, 1898

dokonały się rewolucyjne zmiany. Najpierw Ciechanów doczekał się rangi równorzędnej z Przasnyszem, stał się z powrotem miastem powiatowym, więc korespondencja i prasa docierały tu bezpośrednio z miasta gubernialnego Płock, bez pośredniego etapu w Przasnyszu. Drugim ważnym wydarzeniem dla funkcjonowania poczty stało się otwarcie w 1877 roku Drogi Żelaznej Nadwiślańskiej, na szlaku której szczęśliwie znalazł się Ciechanów. Początkowo na trasie warszawska Praga – Mława kursowały tylko dwa składy dziennie: jeden pociąg towarowo–osobowy i drugi, pocztowy – wychodzący po południu z Pragi do Mławy, a rano podążający w odwrotnym kierunku.

Przesyłki pocztowe, dotychczas przesyłane konnymi karetkami pocztowymi, teraz ekspediowane były szybszą i wygodniejszą drogą kolejową. Zakazane było wówczas przewożenie „listów i posyłek zapieczętowanych” przez osoby prywatne, a przyłapanym na takim wykroczeniu groziły poważne kary. Już po kilku latach pociąg pocztowy stracił rację bytu, ponieważ zwiększała się liczba kursujących codziennie pociągów, a do każdego składu dołączany był wagon pocztowy. Formowano także składy osobowo-towarowe, dzięki czemu przesyłki pocztowe docierały do celu nawet kilka razy dziennie. Z racji swojego położenia przy linii kolejowej ciechanowski urząd pocztowy rozrósł się. Docierały tu również przesyłki do Przasnysza i Chorzel, ekspediowane następnie z Ciechanowa do celu konnymi karetkami pocztowymi.



W latach siedemdziesiątych XIX wieku w Ciechanowie uruchomiony został kantor pocztowy klasy VI, później powiększony o połączenia telegraficzne, a dotychczasowego pocztmistrza przemianowano na naczelnika kantoru pocztowo-telegraficznego. Pod jego opieką wciąż jeszcze były konie i pojazdy. W 1890 roku opłata za przejazd „extrapocztą za parę koni z bryczką” z Ciechanowa do Przasnysza wynosiła 2 ruble 99 kopiejek i trwała ok. 2,5-3 godz. Od stacji kolejowej Ciechanów do miasta kursowały regularne omnibusy pocztowe, przewożące za opłatą również pasażerów. Początkowo omnibusy odjeżdżały na stację drogi żelaznej spod kościoła, ale ze względu na wygodę mieszkańców trasa została wydłużona do Rynku. Zimą, w czasie dobrej sanny, zamiast karetek i omnibusów kursowały sanie, niestety odkryte, więc pasażerowie - zwłaszcza na dłuższym dystansie - musieli być na to przygotowani.

Warto wspomnieć, że od uruchomienia linii kolejowej do bodajże lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku w Ciechanowie funkcjonowały równoległe dwa niezależne urzędy pocztowo-telegraficzne, w mieście i na stacji. Ten drugi, działający głównie na rzecz kolei, przyjmował przesyłki również od innych zleceniodawców. Wokół dworca kolejowego powstały liczne zabudowania z wieloma mieszkańcami – urzędnikami, rzemieślnikami i ich rodzinami, tworzące odrębną osadę zwaną Ciechanów Stacja.

Na organizowanych balach i ważniejszych wydarzeniach uczestników dzielono na „towarzystwo z cukrowni, stacji kolei żelaznej i z miasta”. Pierwszym pocztalterem czyli kierownikiem zarządzającym nowo otwartą stacją pocztowo-telegraficzną kolei nadwiślańskiej był Grzegorz Pszczółkowski, pochodzący z Pszczółek Górnych.

Znacznie później niż funkcja pocztmistrza pojawił się zawód pocztyliona, czyli dzisiejszego listonosza. W ciechanowskim był on nieznanym prawie do końca XIX wieku. Ziemianie, zwłaszcza ci prenumerujący prasę (a było ich niemało) wysyłali regularnie umyślnego, konnego lub pieszego posłańca po odbiór przesyłek. Pozostałe rozsyłane były z poczty nieregularnie, w miarę znalezienia odpowiedniego „gońca”, którym mógł być sąsiad, pachciarz, wędrujący po wsiach handlarz lub inni przygodni posłańcy. Kiedy w kwietniu 1900 roku w kilku miejscowościach guberni płockiej, m.in. w Ciechanowie wprowadzono nową usługę – dostawę listów pieniężnych i cennych przesyłek do domów, zawód pocztyliona czyli doręczyciela przesyłek stał się niezbędnym.

Wraz z wynalazkami i rozwojem wachlarza usług, poczta rozpoczęła obsługę komunikacji telefonicznej. Pierwszy telefon założony został w ciechanowskiej cukrowni już w 1883 roku, kolejne pojawiały się w mieście – w urzędach i u obywateli - dopiero od 1906 roku. Skrzynki pocztowe pojawiły się w miastach w drugiej połowie XIX wieku, później niż koperty i znaczki – przyklejane w dowolnym miejscu na kopercie, a kasowane bardzo prosto – przez przekreślenie piórem. W naszej guberni jako pierwsze zawisły dwie skrzynki w Płocku w 1876 roku, stopniowo wprowadzano kolejne, a około piętnaście lat później pojawiła się pierwsza skrzynka pocztowa na rynku ciechanowskim.

Po Grodzkim p.o. naczelnika kantoru pocztowo-telegraficznego został czasowo mianowany

Kazimierz Poraziński, a jego pomocnikiem został Feliks Żelechowski. Po nim funkcję objął Urodow. Wśród pracowników poczty byli: nadzorcy w kantorze Antoni Wichliński, Paulin Grejkowicz i Józef Czesławski, pomocnicy Zwoliński i J. Hertz, urzędnicy Kazimierz Pacho, Wincenty Kołakowski, Włodzimierz Panczenko, Stefan Olszewski i Korolkiewicz. Ostatnim naczelnikiem miejskiego kantoru pocztowo-telegraficznego przed odzyskaniem niepodległości był Stefan Czygierz, a pierwszym naczelnikiem ciechanowskiej poczty po odzyskaniu niepodległości był Józef Dobrowolski, wcześniej (w czasach carskich) pomocnik naczelnika.

W 1923 roku w Ciechanowie był urząd pocztowo-telegraficzny podniesiony do III klasy, któremu podlegały placówki w powiecie: małe urzędy pocztowo-telefoniczne w Kraszewie i Gołyminie oraz nieco większy, bo z łącznością telegraficzną urząd w Krasieńcu. W każdym z tych urzędów była wydzielona rozmównica, z której korzystali zainteresowani łącznością telefoniczną – oczywiście, po zamówieniu rozmowy u telefonistki. W tym czasie do Przasnysza kursowały regularnie dwie karetki dziennie, obsługiwane przez przewoźnika żydowskiego. Komunikacja z Makowem była nieregularna, oparta na przyjeżdżających stamtąd karetkach z pasażerami do pociągu. Naczelnikiem ciechanowskiej poczty został Stanisław Przygodziński, który był na tym stanowisku do wybuchu wojny.

Usługi pocztowe stawały się powszechne, w urzędach i licznych domach pojawiały się telefony, doceniano szybkość docierania i użyteczność informacji telegraficznych, a prędko rozwijająca się komunikacja samochodowa (w tym autobusowa) pozwalała na dostarczanie regularnych przesyłek. W powiecie otwarto w 1929 roku agencję pocztową w Ościsłowie, a pierwszym agentem został rolnik Stanisław

Czajkowski. Rok później uruchomiono prowadzoną przez Teresę Rusczyńską taką placówkę w Łagunach, a w 1931 roku - agencję pocztową w Regiminie, w której po kilku miesiącach dodatkowo „zaprowadzono służbę telegraficzną i telefoniczną”. Wśród ówczesnych urzędników pocztowych na terenie powiatu ciechanowskiego można wymienić: urzędników Adama Rachwata, Antoninę Olszewską, Henrykę Kierzkowską, Antoniego Mochockiego, monterami byli Sędzimirski i Długiński, woźnym – Stanisław Bujakowski, pocztylionami Franciszek Kurowski, Józef Kuśmierkiewicz i Marian Kosik. Ten ostatni - wieloletni pocztylion, zaraz po wybuchu II wojny wraz z rodziną uciekał na wschód. Po 17 września 1939 roku aresztowany został przez NKWD i zesłany do Kazachstanu. W końcu 1941 roku uzyskał zwolnienie z zesłania i zaciągnął się do tworzonej armii Andersa, z którą przebył szlak do Bliskiego Wschodu. Schorowany, nie doczekał powrotu do kraju – zmarł w sierpniu 1945 roku koło Tel Awiwu i pochowany jest na polskim cmentarzu w Jaffie.

Jako ciekawostkę dodać można, że rozwój usług pocztowych w XIX wieku przyczynił się do wzrostu zainteresowania gołębiami pocztowymi i do powstawania związków hodowców gołębi. Taki związek – pod nazwą Towarzystwo Hodowców Gołębi Poczтовых i Rasowych działał aktywnie w okresie międzywojennym i w Ciechanowie, a nawet stąd odbywały się starty lotów ćwiczebnych oraz konkursowych w kategoriach starych i młodych gołębi.

Grażyna Czerwińska

Bibliografia

Echa Płockie i Łomżyńskie
Kalendarze informatory płockie
Korespondent Płocki
Kronika Ciechanowska
Spisy abonentów sieci telefonicznych państwowych i koncesjonowanych
Warszawski Dziennik Wojewódzki

CIECHANOWSCY SENIORZY WSPOMINAJĄ...



Bogaty nie jest ten, kto posiada, lecz ten co daje, kto potrafi dawać – to życiowe motto pani **Zofii Brzezińskiej**, pełniącej przez prawie ćwierć wieku odpowiedzialną funkcję dyrektorki Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej w Ciechanowie. Po przejściu na zasłużoną emeryturę nie przestała pomagać ludziom starszym, chorym i potrzebującym wsparcia.



Od wielu lat pasjonuję się genealogią, docieram do wielu bardzo starych dokumentów, ksiąg parafialnych, archiwów, więc mam rzetelną wiedzę o moich przodkach. Najstarszym dokumentem, do jakiego udało mi się dotrzeć, to akt małżeństwa mojego prapradziadka Franciszka Malinowskiego z dnia 20 września 1817 roku, z którego dowiedziałam się że był on wówczas trzydziestoletnim mieszczaninem zamieszkałym we wsi Zielona w parafii Sochocin, synem Stanisława Adama Malinowskiego obywatela miasta Biłgoraj w obwodzie Tarnogród w województwie lubelskim i Marianny z Lesińskich. Franciszek Malinowski ożenił się z Magdaleną Klimkiewiczówną, panną, co zostało potwierdzone podpisem Sebastiana Kozłowskiego, komendarza sochocińskiego, zastępującego urzędnika stanu cywilnego gminy sochocińskiej. Ze związku Franciszka i Magdaleny urodził się w Kondrajcu w lutym 1833 roku mój pradziadek Piotr (który miał

czwórkę rodzeństwa, urodzonego w Zielonej). Pradziadek Piotr ożenił się 22 października 1855 roku z Katarzyną Zagnatowską, będąc wyrobnikiem zamieszkałym w Opinogórze. Z tego związku urodził się m.in. mój dziadek Ignacy (ur. 16 lipca 1871). Jego synem (i jego małżonki – wdowy Bronisławy Petrykowskiej z domu Tomczykowskiej) był Zygmunt Malinowski - mój tata urodzony w 1906 roku (jako jeden z czterech synów).

Jeśli chodzi o genealogię rodziny mojej mamy Jadwigi z domu Blankiewicz, to udało mi się dotrzeć do informacji, że w 1776 roku urodził się mój praprapradziadek Antoni Brym (majster kunsztu bednarskiego). W 1806 roku ożenił się z Petronelą z Lwowskich (w Pałukach), dochowali się co najmniej dziesięciorga dzieci. Około 1816 roku rodzina Brymów wyprowadziła się z Opinogóry do Płocka. Ich syn Jan (prawdopodobnie najstarszy z dzieci), który urodził się 11 stycznia 1811 roku w Opinogórze Książęcej był moim prapradziadkiem. Jan ożenił się (będąc wdowcem) w 1852 roku z Kordulą Rejmer z Czarneckich (wdową), z którą miał sześciorgo dzieci, dorosłość osiągnęło jedynie dwóch synów. Jeden z nich, starszy Aleksander (mój pradziadek) urodzony w 1857 roku ożenił się w dość zaawansowanym jak na tamte czasy wieku 36 lat w dniu 29 czerwca 1894 roku z dziewiętnastoletnią Józefą



Moi rodzice w dniu ślubu – styczeń 1941 r.

Romanowską, panną z Mystkowa. Małżonkowie mieli co najmniej dwanaścioro dzieci, kilkoro zmarło przedwcześnie. Ich najstarszą córką była Janina, urodzona w 1895 roku (moja babcia), która wyszła za mąż za Józefa Blankiewicza rolnika z Prążewa (w 1919 roku). Janina i Józef byli rodzicami mojej mamy – Jadwigi.

Pozwalam sobie przybliżyć genealogię mojej rodziny z nadzieją, że może ktoś z czytelników znajdzie w niej jakiś ślad dotyczący swoich przodków.

Moi rodzice Zygmunt Malinowski i Jadwiga z domu Blankiewicz byli rolnikami z Prążewa koło Ciechanowa, gdzie 74 lata temu przyszedłem na świat. Dzieciństwo spędzone na wsi, wśród kochających rodziców i rodzeństwa mimo trudnej rzeczywistości lat powojennych, konieczności pomagania w pracach gospodarczych wspominam bardzo dobrze, to były szczęśliwe i bezpieczne lata.



Jako radna Rady Miasta – wiceprzewodnicząca Komisji Spraw Społecznych, 1991 r.



Siedziba Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej w Ciechanowie – po remoncie

Rodzice doceniali wartość wykształcenia, dlatego zachęcali nas do nauki. Mieli na pewno satysfakcję, że ich dzieci skończyły zarówno liceum (LO im. Zygmunta Krasińskiego), jak i studia. Mój nieżyjący już brat Józef został prawnikiem, adwokatem, społecznikiem, aktywnym działaczem Towarzystwa Miłośników Ziemi Ciechanowskiej. Siostra Ania (też już nie żyje) z męża Obojska skończyła medycynę, była znaną w Ciechanowie lekarką, ginekologiem położnikiem. Ja po skończeniu „Krasiniaka” w 1966 roku ukończyłam następnie Państwową Szkołę Ekonomiczną (1968 rok), a później studia w Szkole Głównej Planowania i Statystyki. W 1997 roku w Centrum Rozwoju Służb Społecznych przy Ministerstwie Pracy i Polityki Społecznej zrobiłam specjalizację w zakresie organizacji pomocy społecznej. Moja droga zawodowa rozpoczęła się pracą referenta w Wojskowej Administracji

Koszar w ciechanowskiej jednostce wojskowej. Następnie było Przedsiębiorstwo Ceramiki Budowlanej w Krubinie, a później Przedsiębiorstwo Państwowej Komunikacji Samochodowej, gdzie zostałam kierownikiem działu kadr i szkolenia zawodowego. W 1989 roku zostałam radną Rady Miejskiej pierwszej kadencji, od stycznia 1990 roku działalność w Radzie łączyłam z pracą w Urzędzie Miasta, gdzie byłam kierownikiem działu organizacyjnego i kadr.

Przełomowy był dla mnie rok 1991, gdy prezydent Ciechanowa Tadeusz Bochnia doceniając moją pracę w miejskim samorządzie powołał mnie na stanowisko dyrektora Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. Rok 1991 był także przełomowy w budowaniu nowych struktur pomocy społecznej, przy dużym deficycie środków finansowych w całym kraju. Nie ukrywam, że na początku byłam przerażona i pełna obaw, czy sprostim



*Odbieram wyróżnienie Ministra Pracy i Polityki Społecznej – 2008 r.,
obok wiceminister Jarosław Duda*

obowiązkom wymaganym na zaproponowanym mi stanowisku dyrektorskim, nigdy wcześniej nie byłam samodzielnym szefem. Wyzwanie było spore, bo czekały liczne i poważne zadania. Ośrodek Pomocy Społecznej mieścił się w dużym, ale zaniedbanym budynku przy ulicy Sienkiewicza. Zatrudniał zaledwie kilkanaście osób. Dzięki dobrej współpracy z władzami miasta, z Wojewódzkim Zespołem Pomocy Społecznej i ówczesną Minister Pracy i Polityki Społecznej Joanną Staręgą-Piasek doprowadziłam do remontu generalnego starego, po-szpitalnego budynku – naszej siedziby. Po pracach remontowych przeprowadzonych w latach 1992-1994 budynek został dostosowany do potrzeb osób niepełnosprawnych.

W wyniku likwidacji barier architektonicznych w obiekcie, radykalnej poprawie uległy warunki pracy pracowników i podopiecznych Ośrodka. Ten nowoczesny obiekt w tamtym czasie był nawet zbyt duży na nasze potrzeby, dlatego przeniesiono do niego z ulicy Jesionowej Dom Dziennego Pobytu.

Część piwnic przeznaczono na magazyn darów, przekazywanych przez prywatne firmy i Urząd Celny, które MOPS rozdawał ubogim rodzinom. Udało mi się rozszerzyć ofertę pomocową o szereg niekonwencjonalnych metod pracy socjalnej, m.in. noclegownia dla bezdomnych, świetlica integracyjna dla dzieci niepełnosprawnych, usługi fryzjerskie i pralnicze dla podopiecznych, utworzenie zespołów interdyscyplinarnych. Drugie piętro budynku przekazane zostało



*Wśród podopiecznych Środowiskowego Domu
Samopomocy na ulicy Strażackiej – 2000 r.*



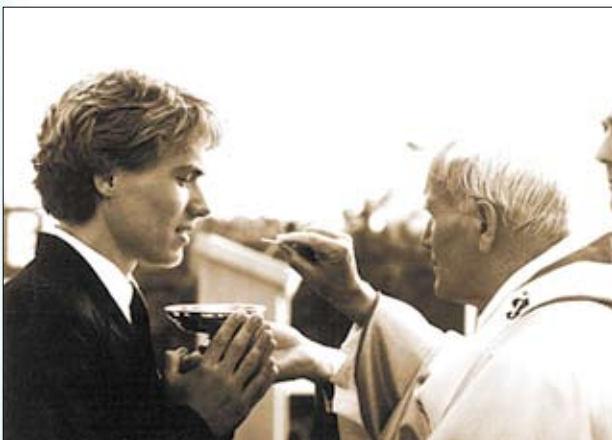
Gratulacje od Prezydenta Miasta Waldemara Wardzińskiego i wiceprezydenta Cezarego Chodkowskiego – obchody 20-lecia MOPS-u, 2010 r.

do dyspozycji Dziennego Domu Seniora, w którym opiekę znalazła grupa 30 emerytów i rencistów.

Wychodząc naprzeciw społecznemu zapotrzebowaniu, otworzyłam w 2000 i 2007 roku dwa środowiskowe domy samopomocy

dla osób upośledzonych umysłowo i chorych psychicznie (przy ulicy Niechodzkiej i ulicy Strażackiej). Uruchomienie tych placówek możliwe było dzięki pozyskaniu przez MOPS środków finansowych na remont budynków przeznaczonych na ten cel.

W 2000 roku podjęłam współpracę z dyrektorem Domu Pomocy Społecznej w Haldensleben – partnerskim mieście Ciechanowa. Owocem tej współpracy była wymiana doświadczeń zawodowych, jak również rzeczowa pomoc dla naszych podopiecznych (łóżka rehabilitacyjne, koce, odzież, pościel, żywność itp.). Ten konkretny, materialny wymiar współpracy miał dla ciechanowskiego MOPS-u duże znaczenie, gdyż co roku z Haldensleben dostawaliśmy kilka transportów darów, przekazywanych głównie przez mieszkańców tego partnerskiego miasta.



Syn Adam jeszcze jako osoba świecka, przyjmuje komunię świętą z rąk Ojca Świętego Jana Pawła II – Płock, czerwiec 1991 r.



*Jubileusz 45-lecia pracy zawodowej, grudzień 2009 r.
(wśród kierownictwa Urzędu Miasta)*

W miarę nabierania doświadczeń i ciągłych szkoleń, w których uczestniczyliśmy, dostrzegaliśmy że w pomocy społecznej jest sporo miejsca na inwencję. Pomoc materialna jest ważna, ale nie mniej istotne jest przeciwdziałanie wykluczeniu społecznemu, tworzenie poczucia bycia potrzebnym i związanego z tym oddziaływania na sferę psychiczną podopiecznych MOPS-u. Za bardzo istotne przedsięwzięcia, oprócz już wspomnianych środowiskowych domów samopomocy czy świetlicy integracyjnej, uważam wdrożony przez kierowany przeze mnie Ośrodek projekt aktywizowania społeczności lokalnych do wspólnych działań na rzecz samych siebie. Udało się np. zachęcić mieszkańców domów wielorodzinnych m.in. z ulicy Sierakowskiego czy Wojska Polskiego do remontu klatek schodowych czy porządkowania terenu wokół budynków. Mieszkańcy, wykonując

pożyteczne rzeczy służące im samym z pewnością bardziej dbali o to, żeby efekt ich pracy nie został zmarnowany. Praca socjalna w zaniedbanych wcześniej budynkach mieszkalnych poprawiła estetykę obiektów i zintegrowała ich mieszkańców.

Za wdrożenie nowatorskich, niekonwencjonalnych metod pracy w pomocy społecznej otrzymałam nagrodę Ministra Pracy i Polityki Społecznej w 2008 roku. To wyróżnienie było dla mnie, ale zapracowaliśmy na nie całym zespołem MOPS-u. Udało mi się stworzyć wspaniały zespół pracowników, z pełnym poświęceniem realizujących trudne zadania, których było coraz więcej. Dzięki pracownikom nasz Ośrodek był wielokrotnie wyróżniany i nagradzany. Na dobre efekty naszej pracy z pewnością miał wpływ fakt, że bardzo dobrze układała się moja współpraca z kolejnymi pięcioma prezydentami miasta,

którzy doceniali znaczenie sprawnie funkcjonującej pomocy społecznej.

Muszę podkreślić, że opieka społeczna często jest przedmiotem wielu programów interwencyjnych, często bardzo krytycznych wobec działań pracowników pomocy społecznej. Mam satysfakcję, że kierowany przeze mnie MOPS pojawił się w jednej z ogólnopolskich stacji telewizyjnych w 2008 roku, ale jako przykład dobrze funkcjonującej instytucji. Decydując się w 1991 roku na kierowanie ośrodkiem pomocy zdawałam sobie sprawę z tego, że w tej pracy będzie dużo problemów, a mało przyjemności. Bywało, że się nawet popłakałam, ale były także przypadki, może niezbyt częste, że dziękowano mi za pomoc, która komuś pozwoliła stanąć na nogi.

W pomocy społecznej przepracowałam prawie 25 lat, to szmat czasu, odeszłam z niej na emeryturę z końcem stycznia 2016 roku. Z perspektywy upływającego czasu mogę



Jola – moja córka na urlopie

podkreślić, że praca w pomocy społecznej nie może być dla pracującego w niej człowieka tylko sposobem zarabiania na chleb. To swoista misja. Potrzeba do jej realizacji wielkiej cierpliwości, wrażliwości, którą jednak trzeba godzić z obowiązującym prawem. Mam ogromną satysfakcję z dokonań, z tego co udało się naszemu zespołowi zrobić, by pomagać ludziom.

Dyrektor bez dobrego zespołu niewiele znaczy, sam wszystkiego nie wymyśli ani też nie wykona. Młodzi pracownicy, którzy trafiali do MOPS-u, we współpracy ze mną i całym zespołem kształcili się, krzepili, awansowali, a jednocześnie nie tracili zapału i wrażliwości, niezbędnej w tej szczególnej pracy. Bez obawy decydowałam się na emeryturę wiedząc, że ciechanowska opieka społeczna będzie należycie sprawowana.

Na emeryturze nie przestałam pomagać ludziom starszym, chorym – wspieram ich jako wolontariuszka. Tej wrażliwości uczyłam się od mojej mamy, która również pomagała starszym ludziom w potrzebie. Mam teraz więcej czasu dla siebie. Czytam książki, pielęgnuje kwiaty w przydomowym ogródku, słucham dobrej muzyki, chodzę na basen, jestem słuchaczką PUTW. Mogę także poświęcić więcej czasu i uwagi moim dorosłym dzieciom. Syn Adam jest księdzem, proboszczem parafii Tłuchowo w diecezji płockiej, a córka Jolanta jest sędzią w Sądzie Rejonowym w Toruniu, więc nareszcie mogę ich odwiedzać, kiedy mam na to ochotę i czas. Cieszę się, że moje dzieci są wrażliwe na potrzeby innych i nie są im obce słowa świętego Jana Pawła II: „Bogaty nie jest ten, kto posiada, lecz ten kto daje, kto potrafi dawać”. Prawda, że piękne?

*Wspomnień wysłuchała
Ewa Gładysz*

Ilustracje ze zbiorów bohaterki

DZIAŁALNOŚĆ CHARYTATYWNA I OŚWIATOWA W PARAFII FARNEJ W CIECHANOWIE.

Szkic historyczny z okresu od XVI do XX wieku.

Człowiek jest drogą Kościoła napisał św. Jan Paweł II w swojej pierwszej encyklice „Redemptor hominis” (Odkupiciel człowieka) z 1979 roku. To stwierdzenie zawiera lakoniczne określenie antropocentryzmu chrześcijańskiego, który nie klóci się z teocentryzmem, bowiem człowiek jest istotą stworzoną *na obraz i podobieństwo* Boże, odkupiony przez mękę, śmierć oraz zmartwychwstanie Syna Bożego. Człowiek zawdzięcza swoją wielką godność osobową Bogu: Stwórcy i Odkupicielowi. Dlatego też Kościół od początku swojego istnienia, pomny na słowa Jezusa Chrystusa: *Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, Mnie-ście uczynili* (Mt.25, 40) obok dzieł ewangelizacyjnych zawsze prowadził działalność charytatywną i oświatową. Już w czasach apostołskich podczas sprawowania Eucharystii zbierano dary ofiarne, które były rozdzielane pomiędzy najbiedniejszych członków wspólnoty religijnej. Zajmowali się tym ustanawiani przez specjalne święcenie diakoni, którzy stanowili trzeci po biskupach i prezbiterach stopień hierarchii kapłańskiej.

W realiach historycznych Północnego Mazowsza mamy piękne przykłady dzieł charytatywnych. W Pułtuskusiostry szarytki (zakon założony przez św. Wincentego a Paulo) zbudowały i prowadziły szpital od 1727 do 1945 roku. Szpital św. Trójcy w Płocku, założony już w roku 1235 staraniem biskupów płockich, został w 1764 roku przejęty przez szarytki i był przez nie prowadzony do 1962

roku. W Ciechanowie nie było wprawdzie zakonu sióstr szarytek i szpitala przez nie prowadzonego, ale duszpasterze naszego miasta nie poniechali bynajmniej troski o ubogich. W protokołach powizytacyjnych biskupów płockich znajdujemy wprawdzie nieliczne, ale cenne wzmianki o dziełach charytatywnych.

W wielu parafiach świadczeniem pomocy biednym, chorym i kalekom zajmowało się Bractwo Miłosierdzia. Na terenie parafii ciechanowskiej nie spotykamy śladu istnienia tego bractwa. Zgodnie z życzeniem Kościoła istniał na terenie naszej parafii tzw. szpital, który był domem opieki dla tych, którzy nie mieli jej od swych najbliższych. Istnienie szpitala, a nawet dwóch wielokrotnie potwierdzały odbywane wizyty. W szpitalu, czyli odpowiednio zbudowanym domu, mieszkali ubodzy parafianie mężczyźni i kobiety, żyjący często z jałmużny i datków proboszczowskich, za które wykonywali drobne usługi przy kościele, tak jak zamiatanie, sprzątanie, pilnowanie kościoła, dzwonięcie. Sporo wiadomości o tej instytucji kościelnej podał zapis wizyty z 1775 roku. Czytamy w nim, że w Ciechanowie były dwa szpitale: jeden przy farze - drewniany, drugi nowy murowany przy kościele Św. Ducha. Relacja mówiła: *W tym mieście Ciechanowie są dwa szpitale, jeden pod farą, drewniany, stary, przez niegdyś Kuklińskiego wystawiony i od niegoż jest zapisane 100 czerwonych złotych na Łysakowie na płaszczę, która prowizja lubo nie dochodzi, jednak ks. pleban płaszczę sprawuje.*



W tym budynku poklasztornym w latach powojennych aż do 1990 r. mieścił się Dom Dziecka (par. św. Tekli)

Drugi szpital przy kościółku św. Ducha murowany... przy tym kościółku szpital murowany z cegły w glinę bez wapna, o jednej izbie, w tej izbie znajduje się ubogich trzy z jałmużny żyjących. Sytuacja pogorszyła się, kiedy jeszcze tegoż 1775 roku szpital farny spłonął, zaś szpital przy kościele Św. Ducha wymagał reperacji. Dochody zarówno z jednego, jak i z drugiego były niewielkie, toteż proboszcz niejednokrotnie z własnej kasy musiał wyasygnować potrzebne sumy.

Kościół św. Ducha wraz z szpitalem został zbudowany około 1533 roku. Jak podawała wizyta w 1756 r. miał być erygowany w 1533 roku, wspominano go również w czasie wizyt w 1598 i 1609 roku. Był to kościół murowany w formie zbliżonej do kwadratu, a we wnętrzu znajdowały się trzy ołtarze. W ołtarzu wielkim był obraz malowany na drzewie, przedstawiający scenę Narodzenia N. M. Panny. Obok

kościola stała dzwonnica, a wokół był cmentarz grzebalny. Nie wiadomo, ilu chorych mógł przyjmując znajdujący się przy kościele szpital; należy jednak sądzić że niewielu¹. Z opisu w 1775 roku widać, że stan budowli był opłakany: okna popsute, dach zły, sufit zgniły i dziurawy. Z boku mieściła się murowana zakrystyjka bez sklepienia z kratą żelazną w oknie; w zakrystii była skrzynia z ornamentami i innymi paramentami liturgicznymi. Przy kościele stała dzwonnica z dwoma dzwonami. Uroczyste nabożeństwo odprawiało się w XVIII wieku na Zielone Świątki. Przełożonym kościoła w 1775 roku był ks. Ignacy Kozłowski. W 1780 roku zapisano, że kościół uznano za nieużyteczny do nabożeństw i przestano je w nim odprawiać. Wraz z jego zamknięciem zapewne przestał też działać powiązany szpital.

¹ Por. Ks. Michał M. Grzybowski, Ciechanów, Szkic z dziejów parafii, s. 86-87.



W domu parafialnym przy farze ciechanowskiej w latach 1969-1989 mieściła się Szkoła Specjalna

Istnieją dwie opinie na temat lokalizacji tego kościoła i szpitala. Jedna wskazuje, że kościół św. Ducha stał w miejscu, gdzie potem usytuowano dom oraz zakład mechaniczny Włodzimierza Lenca przy ulicy Augustiańskiej, róg Orylskiej. W 1892 roku, gdy rozkopywano plac, na którym miał stanąć dom i zabudowania, znaleziono wielką ilość kości ludzkich, które przeniesiono częściowo na cmentarz grzebalny, częściowo na Farską Górę. Należy sądzić, że przy tym kościele był także cmentarz grzebalny, stąd pozostałe kości. Jeszcze w 1885 roku na tym miejscu stała figura św. Jana, jako pamiątka po kościele i cmentarzu. Druga opinia lokalizuje ten kościół u zbiegu ulic Warszawskiej i Nadfosnej, w bezpośrednim sąsiedztwie bloku nr 27 przy ulicy Warszawskiej. Podczas ostatniej rekonstrukcji ulicy Warszawskiej znaleziono tam również wiele ludzkich kości,

co wskazywałoby na miejsce pochówku. Niezależnie od rozbieżności lokalizacyjnych, faktem historycznym jest istnienie szpitalika przy tym kościele.

O szpitalu zlokalizowanym przy kościele farnym czytamy w zapisie wizytacyjnym z 1779 roku: *Był szpital pod farą fundowany przez niegdyś JMP Jana Kuklińskiego, stolnika ciechanowskiego, który w 1775 r. zgorzał i teraz ubodzy w folwarku plebańskim mieszkają. Na ten zgorzały szpital jest fundusz sto czerwonych złotych na Łysakowie zapisany, od których z czynszu jest obowiązek płaszcze ubogim sprawiac.* Po zniszczeniach związanych z wojną 1807 roku pleban Rajmund Bagiński postanowił w 1816 roku wybudować własnym kosztem nowy szpital. Był to budynek drewniany, dość obszerny, składający się z 4 izb, który mógł pomieścić kilkanaście osób. Oto szczegółowa relacja wizytatora z następnego



Uroczystość oplatkowa dla dzieci z biednych rodzin

roku: Szpital drewniany słomą pokryty nowy, przeze mnie plebana w roku przeszłym postawiony, w węgiel budowany z drzewa najlepszego, długi 26 łokci, a szerokości 15 łokci. Składa się z izb czterech dużych, w każdej oddzielny piec i kominki do gotowania z kuminem wielkim murowanym, kosztujący 3 tys. zł polskich. W tym szpitalu w jednej izbie najwięcej mieszka ubogich mężczyzn 4, niewiast 6, żyją wszyscy z jałmużny. W trzech zaś izbach mieszkają ludzie do gruntu potrzebni, tak zwani komornicy. Szpital ten moim własnym kosztem jest postawiony¹. Budynki te służyły kościołowi prawie do połowy XIX wieku.

W domu parafialnym „Katolik” zbudowanym przy farze w 1911 roku staraniem ks. Remigiusza Jankowskiego w obszernym podpiwniczeniu był zainstalowany piec grzewczy i lokum przystosowane do zamieszkania dla bezdomnych. Zapewne parafia zapewniała im również wyżywienie. W szerokim sensie tego słowa, charytatywnym działaniem parafii farnej był również fakt nieodpłatnego

używania wspomnianego budynku „Katolik” przez szkołę dla dzieci specjalnej troski w latach 1969-1989. Gdy w grudniu 1989 roku Kurator Oświaty w Ciechanowie przekazywał proboszczowi parafii farnej klucze od tego budynku, tak skomentował przymusowe zajmowanie lokalu przez władze miejskie: *Res sacra miser*, co w wolnym tłumaczeniu znaczy *Biedny to sprawa święta*. W podobnej konwencji można zinterpretować zajęcie budynku poklasztornego przy parafii św. Tekli na Dom Dziecka. Była to forma *wymuszonego* przez władze miejskie charytatywu, ale przecież wiadomo, że *Pan Bóg i na krzywych liniach ludzkiego działania pisze prosto*. Eksploatowane przez wiele lat bez remontu budynki wymagały od parafii sporych nakładów finansowych, aby przywrócić je do stanu używalności.

W okresie powojennym władze miejskie przejęły opiekę społeczną. Parafie nie miały funduszu na szeroką działalność charytatywną, jako że same utrzymywały się i nadal utrzymują



Inauguracja roku 1992/93. Wykład dr. Mariana Stryjewskiego

z datków *miłosierdzia chrześcijańskiego*, niemniej jednak choćby tylko symbolicznie, starają się nadal utrzymać niektóre formy działalności typu *Caritas*. Działalność charytatywna nie była fikcją w parafii farnej w latach 1990-2003. Zespół Charytatywny, złożony z kilku osób i dotowany systematycznie z parafialnych pieniędzy wspomagał kilkanaście biednych i najczęściej zarazem patologicznych rodzin. Fundusze przeznaczano na dożywianie oraz zapewnienie opału na okres zimowy. Biedne dzieci w szkołach (około 80) miały opłacane przez parafię obiady szkolne. W okresie Bożego Narodzenia parafia przygotowywała około 100 paczek, rozdawanych w ostatni dzień rekolekcji adwentowych w kościele, a dla niektórych dzieci nawet rozwożone do domów. W wakacje kilkoro dzieci posyłano na kolonie Caritasu z Płocka. Oddział „Civitas Christiana” prowadzony przez Marię Pszczołkowską zajmował się w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku i w pierwszej dekadzie XXI

wieku dystrybucją darów, pozyskiwanych od zamożnych sponsorów. Nie można też zapomnieć, że w okresie *pustych półek sklepowych* w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku dary napływające z zamożnych krajów Zachodniej Europy były rozdzielane przez parafie i inne instytucje kościelne, gdyż wówczas sponsorzy zagraniczni uznawali jedynie Kościół za instytucję godną zaufania.

Z działalnością charytatywną bardzo blisko jest spokrewniona działalność oświatowa Kościoła; tworzenie przy parafiach szpitali, przytułków i szkółek parafialnych szło zwykle w parze. Podobnie było w Ciechanowie i parafii farnej, która do roku 1977 była jedyną parafią, obejmującą miasto i okolice. Ważnym problemem życia wiernych w parafii była oświata. Przez stulecia sprawa ta nie była dostatecznie doceniana przez ludność, dlatego sztukę czytania i pisania znało stosunkowo niewiele osób. Szkolnictwo w Polsce pozostawało w rękach duchowieństwa przez długie lata, bowiem



Ks. bp. Zygmunt Kamiński w towarzystwie wykładowców

tylko Kościół troszczył się o zakładanie szkół najniższego szczebla, tzw. szkół parafialnych. Do szerzenia oświaty wśród ludu służyła szkoła parafialna i konfraternia literacka. Konfraternia było to bractwo, do którego należeć mógł tylko ten, kto umiał czytać i pisać, co pobudzało wielu do wysiłków i współzawodnictwa, aby wyuczyć się tej trudnej wówczas sztuki. Była to umiejętność, którą nawet wysoko postawione osoby poszczycić się nieraz nie mogły.

Szkoły parafialne spotykamy na Mazowszu dość wcześnie. Synody prowincjonalne i diecezjalne nakazywały zakładać przy każdej parafii szkołę, której kierownikiem, nazywanym często rektorem, był pleban bądź wyznaczony przez niego kapłan. Do szkoły uczęszczali uczniowie ze wszystkich stanów, choć wiadomo było, że znaczny wpływ odgrywały tu warunki finansowe, zamożność poszczególnych parafian. Opierając się na materiałach źródłowych można twierdzić, że szkoła w parafii Ciechanów istniała już w XV

wieku i miała swego nauczyciela. Wizytator w 1609 roku stwierdził, że odbywało się tu nauczanie; nauczyciel miał wyznaczone uposażenie i dom drewniany, w którym mieszkał. Uposażenie nauczyciela, jak przedstawiał zapis wizyty z 1764 roku, stanowił fundusz lokowany na wsi Gorysze. Prawdopodobnie nie zawsze mógł on być wyegzekwowany, zdarzały się bowiem sytuacje, że nauka się nie odbywała, bo nie było funduszu na szkołę i nauczyciela. Niemal dosłownie takie zdanie zapisał wizytator w 1775 roku: *Żadnych nie masz szkół, albowiem na to funduszu nie masz.*

Oprócz szkoły parafialnej istniało od lat nauczanie w klasztorze augustianów. Ponieważ konwent liczył zawsze kilka osób, łatwiej było znaleźć kogoś, kto zajął się nauczaniem. Bywało, że w szkole u augustianów znajdowało się więcej uczniów niż w szkole parafialnej, a co ważniejsze, naukę prowadzono prawie bez przerwy; co stwierdzała m.in. wizyta w 1782 roku. Interesujące dane podała lustracja z 1817



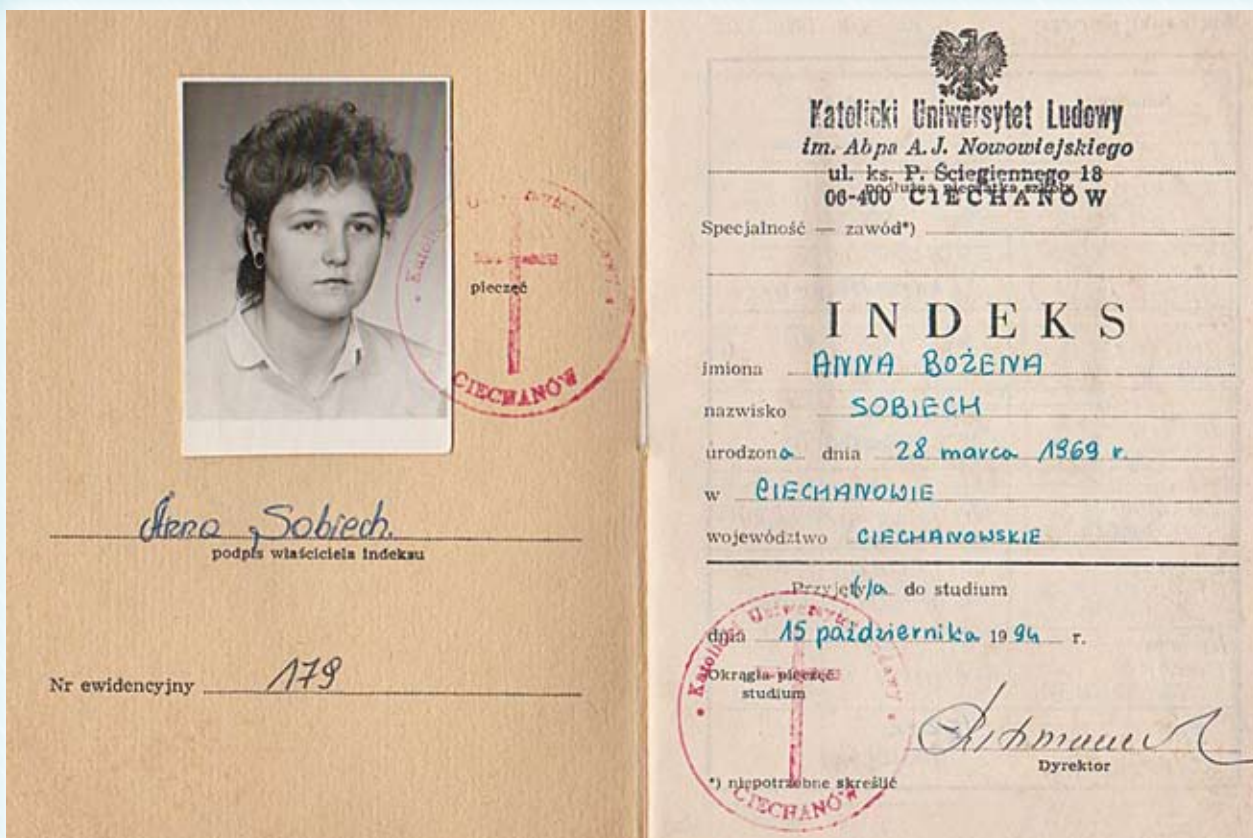
Wykład

roku informując, że w mieście była szkoła podlegająca plebanowi, ukonstytuowana zgodnie z wymogami Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Szkoła miała swego nauczyciela dobrze opłacanego i uczęszczało do niej stosunkowo dużo uczniów, bo 60 chłopców i 23 dziewczyny oraz 17 dzieci pochodzenia żydowskiego. Nauka trwała cały rok. Ponieważ teren parafii był rozległy, zorganizowano także nauczanie w dwóch wioskach. W następnych latach szkoła w Ciechanowie działała, choć frekwencja była różna. Jak podawała lustracja z 1822 roku, zdatnych do nauki było około 500 dzieci a pobierało ją tylko 42; w 1828 uczyło się 59 dzieci. Lustracja z 1842 podała, że szkołę elementarną utrzymywano z funduszy miejskich, choć pozostawała pod zarządem i opieką plebana².

W czasach współczesnych ciekawą formą upowszechniania oświaty był Katolicki

Uniwersytet Ludowy, funkcjonujący w parafii farnej od 1991 do 1999 roku z inicjatywy Biskupa Płockiego Zygmunta Kamińskiego jako nawiązanie i kontynuacja działalności Uniwersytetu Ludowego w Proboszczewicach koło Płocka, założonego przez Abpa A.J. Nowowiejskiego w 1938 roku. Zarówno Uniwersytet Ludowy w Proboszczewicach jak i ten w Ciechanowie założony został na kościelnym prawie diecezjalnym, bez uprawnień uczelni państwowych. Jego celem była szeroko pojęta edukacja ze szczególnym uwzględnieniem środowiska wiejskiego. Rozkład zajęć był tak zorganizowany, by umożliwić ludziom pracującym na roli udział w zajęciach uniwersyteckich; zajęcia rozpoczynały się w listopadzie i kończyły w maju. Odbываły się w soboty od godz. 10.00-17.00, raz jeden w miesiącu. Program został tak sprofilowany, aby słuchaczom zapewnić formację i rozwój duchowy w szeroko pojętej kulturze chrześcijańskiej z uwzględnieniem potrzeb ludności wiejskiej.

² Dz. cyt. s. 65-67. Por. Zofia Krotochwil. Augustianie w Ciechanowie, Studia Płockie 24/159.



Studenci otrzymywali indeksy

Wykłady i ćwiczenia tworzyły urozmaicony wachlarz edukacyjny.

Na blok tematyczny z zakresu nowoczesnego rolnictwa składały się wykłady z rolnictwa biodynamicznego, ogrodnictwa, ekonomii, prawa rolnego. blok tematyczny związany z kulturą religijną polskiej wsi zawierał zajęcia z zakresu inspiracji religijnej w literaturze polskiej i obyczaju. Nie zabrakło tematyki prozdrowotnej, socjologicznej i wreszcie teologicznej związanej z poszukiwaniem sensu ludzkiego życia. Prowadzone były też lektoraty z języka angielskiego i niemieckiego. Studenci otrzymywali skrypty i mogli nabywać pozycje książkowe, np. opracowany w Niemczech „Katechizm dla dorosłych”. Działalność Uniwersytetu spotkała się z dużym zainteresowaniem społecznym. W roku 1991/92 zapisało się na zajęcia ponad 100 osób; w roku 1992/93 - 106 osób, a w roku 1993/94 uczestniczyło ponad 130 osób. Większość słuchaczy rekrutowała się z okolic Ciechanowa, ale byli też przyjezdni z Bieżunia i Bodzanowa.

Studium trwało trzy lata. Zajęcia zakończyły się w roku 1999.

W zakończeniu tego szkicu historycznego, z konieczności bardzo fragmentarycznego i niekompletnego, można jednak wysnuć wniosek, że kościół parafialny był zawsze w ścisłej symbiozie z ludem i to przede wszystkim z tymi, którym było ciężko w życiu. Oni mieli zaufanie do księdza jako kogoś, kto w niedoli potrafi okazać współczucie i nie zostawi na pastwę losu, postara się pomóc, a przynajmniej duchowo wzmocni i pocieszy. Odwieczna, tajemnicza walka Złego, wykorzystując ludzkie słabości i upadki ludzi Kościoła stara się to zaufanie zniweczyć a nawet wzbudzić nienawiść do kapłanów i instytucji kościelnych, co niestety w znacznej mierze się to udaje. Ludzie Kościoła nie zapominają jednak słów Pana Jezusa: *ubogich zawsze będziecie mieć wśród siebie* (J12,8).

Ks. Ireneusz Wrzesiński

Zdjęcia ze zbiorów Autora

KOGUT I KURA

Nieodległe to czasy, kiedy każde wiejskie podwórko ożywiało mniejsze lub większe stado drobiu. Od niepamiętnych czasów hodowano kury i gęsi, rzadziej kaczki. W ostatnich dziesięcioleciach XIX stulecia i w latach międzywojennych rosnącym zainteresowaniem cieszyła się także hodowla indyków, które w ciechanowskim nosiły nazwę *dziuby* lub *guty*. Bardzo rzadko na wiejskim podwórku można było natomiast spotkać perliczki, w przeszłości kojarzone przede wszystkim z gospodarstwem dworskim. Popularny za to był na wsi chów gołębi.

Dawną wieś – jak Polska długa i szeroka – budziło codziennie do życia pianie kogutów, ryk głodnego bydła i skrzyp studziennych żurawi. Wraz ze wschodem słońca w obejściach zaczynał się ruch, należało bowiem nakarmić głodne zwierzęta. Obrzędkiem koni, bydła i owiec zwyczajowo zajmowali się mężczyźni, opieka nad nierogacizną i drobiem należała do obowiązków kobiet. Wyjątek stanowiły gołębie, w hodowli których lubowała się przede wszystkim młodzież męska. Z racji tego zamięłowania synowie częstokroć popadali w konflikty z ojcami, którzy nie bez racji pomstowali na



Kogut i kura



Kura zielonóżka – kogut i kury



Daj kurze grzędę – między nami karmazynami

gołębie niszczące słomiane dachy. Rodzicielska złość rozplątała się jednak na ogół podczas konsumpcji gołębiego rosółku, ugotowanego przez matkę. Chów drobiu stanowił zawsze ważny element tzw. gospodarstwa kobiecego. Mięso drobiowe i jajka były ważnym składnikiem pożywienia, ale na częste ich spożywanie mogli sobie pozwolić jedynie ludzie zamożni. Uboższe gospodynie starały się te produkty jak najkorzystniej spieniężyć, co nie zawsze było łatwe. Z tego względu drób rzadko trafiał do chłopskiego garnka, co ilustruje odpowiedź na żartobliwe pytanie: - *Kiedy chłop je kurę? Ano wtedy – Kiedy chłop jest chory, albo kura jest chora.* Dochód uzyskiwany ze sprzedaży przychówku domowego ptactwa, jajek, gęsiego pierza i puchu ratował na bieżąco budżet domowy, a w dużych gospodarstwach pomnażał zasoby pieniężne gromadzone z innym przeznaczeniem.

Wśród wszystkich gatunków drobiu hodowanego przez człowieka wyjątkowe miejsce zajmuje kura¹. Ptak ten należy do najwcześniej

¹ Drób, a zwłaszcza kury i koguty często występowały w folklorze słownym, a także w przysłowia i powiedzeniach, np.: *Cackają się z nim jak kura z jajkiem; Nosi się jak kura z jajem; Daj kurze grzędę, a ona mówi – wyżej siędę; Grosz do grosza, a będzie kokosza; Jajko mądrzejsze od kury; Jeszcze tak nie było, żeby jajko kurę uczyło; Jajko wypije, a w skorupce dziury nie robi; Nie zabija się kury znoszącej złote jajka; Siedzi jak kura na jajkach; Trafiło się jak ślepej kurze ziarno; Chodzi spać z kurami; Pisz jak kura pazurem; Dobry kogut nie jest tłusty; Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość*

udomowionych zwierząt, co prawdopodobnie miało miejsce w Indiach. W starożytności hodowano kury powszechnie na Bliskim Wschodzie i w Egipcie, wiemy że w VIII-VII wieku p.n.e. ptaki te dreptały już po greckich podwórkach, a kilka stuleci później hodowali je również mieszkańcy Europy Zachodniej i Środkowej. Dziś mięso kurze i jajka produkowane na skalę przemysłową stanowią jeden z najważniejszych składników pożywienia mieszkańców całej Ziemi. W Polsce w przeszłości mieszkańcy wsi składali różne daniny na rzecz dworu, w tym określone ilości gęsi i kurzych jaj. Drób stanowił żywy chłopski skarb, który należało strzec przed licznymi drapieżnikami, złodziejami, przemarszami głodnego wojska i taborami cygańskimi. W ostatnich dziesięcioleciach nastąpił rozkwit wielkich ferm hodowlanych, produkujących na skalę przemysłową drób na mięso oraz jajka. Równocześnie z wiejskich zagród zaczęły znika kury, kaczki i gęsi. Dziś wiele trzeba się natrudzić, aby znaleźć podwórko, po którym swobodnie poruszają się kury i inne ptactwo domowe.

Liczebność stada drobiu w wiejskim gospodarstwie zależała od możliwości trąci; *Gdace jak kura na jajach; Kręci się jak kusy (diabeł) z jajem; Kobut pieje, desc leje; Nuta jak u kobuta; Ni be, ni me, ni kukuryku; Un ma tam rozum, gdzie kura jajko; Zna się jak kura na pieprzu i wiele innych.*



Kwoka z kurczętami

wykarmienia i przetrzymywania ptactwa. W okresie międzywojennym i w latach późniejszych gospodynie w małorolnych i średniorolnych gospodarstwach hodowały stada rzadko przekraczające liczbę dwudziestu sztuk, w zamożniejszych były one znacznie większe. Panowało przekonanie, że kura to ptak *starowny* i sama potrafi się wyżywić. Takie stanowisko zajmowali zazwyczaj gospodarze, skąpiący ziarna dla drobiu. Dobra gospodyni była przeciwnego zdania, bo doskonale wiedziała, że odpowiednio żywione ptactwo zapewni jej dużo jajek i liczny dorodny przychówek. Nie mogąc dojść do porozumienia ze swoim chłopem w kurzej kwestii, po cichu podbierała pszenicę i owies ze spichlerza dla swoich pupilów, nic sobie nie robiąc z mężowskich wymówek. Kury spędzały cały dzień grzebiąc w ziemi w poszukiwaniu ziaren, nasion, robaków i innych ptasich smakołyków, co potwierdza stare porzekadło mówiące, że: *Kura po to grzebie, żeby coś wygrzebać*. Bywały sytuacje, kiedy kury stawały się powodem sprzeczek i awantur rodzinnych, a zwłaszcza sąsiedzkich. Ptaki te z upodobaniem lubiły wymykać się z obejścia na sąsiadujące z zagrodą pola świeżo obsiane ziarnem. Kiedy gospodarz - a zwłaszcza awanturny sąsiad ujrzał pole zdrapane kurzymi pazurami



*Karmienie drobiu na podwórku,
Kargoszyn ok. 1935 r.*

robiło się nieprzyjemnie, a niejedna kura przyłapana w szkodzie traciła życie albo okulała od ciosów wymierzonych batem lub rzutem kamieniem.

Noc kury spędzały w kurnikach. W dużych gospodarstwach tą funkcję pełniły pomieszczenia wydzielone w jednym z chlewów (zwykle mieszczące się pod jednym dachem z chlewami świńskimi), przy czym poszczególne gatunki drobiu miały oddzielne zagrody (kojce). W gospodarstwach mniejszych kury, kaczki i gęsi nocowały w jednym pomieszczeniu lub w wydzielonej części chlewu. Dla kur ustawiano grzędę, czyli rusztowanie z żerdeń, na których drzemały całą noc. Każda kura starała się usadowić się jak najwyżej na grzędzie, do czego nawiązują znane w okolicach Ciechanowa przysłowia: *Pozwól kurowi grzędę, a on mówi,*



Krzyż procesyjny z elementami Arma Chrysti, Castaneto Carducci (Toskania)

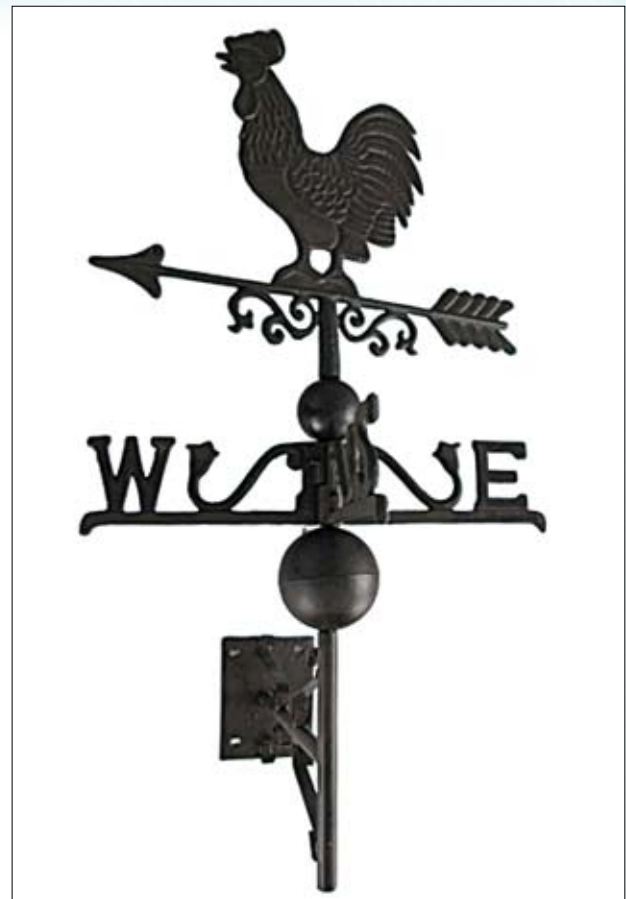


*Kurek wielkanocny,
rysunek S. Masłowskiego, 1883 r.*

że jeszcze wyżej będę; Daj kurze grzędę, a ona na to – wyżej siędę. W czasach pańszczyżnianych, a sporadycznie jeszcze w latach międzywojennych chałupnicy i komornicy nie posiadający budynków gospodarczych trzymali kury w domu, w kojcu wydzielonym w sieni, w komorze dużego komina lub ... na strychu.

W dużych gospodarstwach w okolicach Ciechanowa i Przasnysza występowały unikalne, wielofunkcyjne budynki gospodarcze. Pod jednym dachem mieściły spichlerz, drwalnię, czasami wozownię, chlew dla świń lub cieląt, a na końcu (zwykle od strony chałupy) dwa - trzy pomieszczenia dla drobiu. Zazwyczaj dwa z nich, mniejsze, znajdowały się w szczycie budynku, a prowadziły do nich oddzielne drzwi przedzielone łątką (słupem). Przykłady takiego budownictwa istniały jeszcze u schyłku ub. stulecia m.in. w Rutkach Głowicach i Borkach, Łysakowie, Leśniewie Górnym, Łebkach Wielkich, Purzycach Trojanach, Przywilczu, Szulmierzu.

W marcu zaczynał się okres wylęgu kurczaków. W ciepłej izbie pojawiały się duże kosze wyścielone słomą, do których gospodyni wkładała po 15-20 kurzych jajek i sadzała na nich kwoki. Kwoka to kura, która



Kurek na dachu – obrotowy wiatrowskaz

osobliwym sposobem gdakania deklarowała chęć wysiadywania piskląt. Podłożone pod kurę jajka należało wcześniej sprawdzić, czy nie ma wśród nich zbuków, a robiła to gospodyni wieczorem, podstawiając każde jajko pod światło lampy naftowej. Mętne jajko należało wyrzucić. Przeglądanie było powtarzane jeszcze przynajmniej raz w czasie wysiadywania ich przez kwokę dla sprawdzenia, czy we wszystkich jajkach rozwija się życie. Ciemne, zepsute jajka należało z gniazda usunąć. Po około trzech tygodniach wykluwały się pisklęta, ku radości gospodyni, a jeszcze większej dzieci. Przez pierwsze dni po wykłuciu puchate kurczęta były karmione drobno siekanym jajkiem, później do jajek dodawano kaszę jaglaną i drobinę sera. Podrośnięte ptactwo przenoszono wraz z kwoką do innego pomieszczenia lub do kurnika. Jeżeli kwiecień był zimny, pobyt kurcząt



Srebrny kur Bractwa Kurkowego w Krakowie, dar króla Zygmunta Augusta z 1565 r.

w izbie (także innych piskląt) przedłużał się, co stawało się czasami bardzo uciążliwe skutkiem ciągłego ptasiego świergotu, smrodu i odchodów pozostawianych na podłodze.

Pod jesień kurczaki były już duże. Kogutki zaczynały pisać, stawały się coraz bardziej czupurne i walczyły między sobą, a zatem nadawały się już do sprzedaży lub do konsumpcji na niedzielny obiad. Wszystkie młode kokoszki zostawiała gospodyni do chowu,

natomiast pozbywała się najstarszych kur i kogutków. Stadu kur przewodził kogut, zwykle starannie wybrany. Jerzy Grzymkowski w swoich wspomnieniach z dzieciństwa spędzonego na wsi pod Płońskiem tak opisuje część gospodarstwa dziadków: „A kury u babci bywały bardzo ładne. Dzisiaj się już takich nie widuje. Były tam jarzębatki, często czubate, obnosząc dumnie swoje czuby niczym pawie. Były karmazyny (przynajmniej babcia tak je



Jan Grzegorz Pacut, tegoroczny krakowski król kurkowy

nazywała, ja mam co do tego zastrzeżenia). Były również białe z brązowymi skrzydłami, ogonami i łebkami. Były również kury czarne jak agat, których upierzenie połyskiwało niebieskawo ... Jakich tam zresztą nie było? Stadko babci mieniło się niemal wszystkimi kolorami tęczy. Nie tak jak dzisiejsze stada przywiezione z inkubatora. Wyselekcjonowane, jednolite, mdłe jakieś i monotonne. A koguty...! Koguta do hodowli spośród młodych wybierał zawsze dziadek. I to nie tak na łapu capu! Nie! Upatrzony przez dziadka kogucik bywał poddawany wielotygodniowym obserwacjom i sprawdzianom. Musiał być to kogut dorodny, na wysokich nogach, z szeroką pierśią, grzebieniasty i ostrożasty, pięknie upierzony i bitny. Dziadek twierdził zawsze, że kogut bitny nie jest nigdy leniwy do kur. A przecież o to przede wszystkim chodziło, żeby chętnie deptał kury. No i musiał odznaczać się pięknym głosem.”²

² J. Grzymkowski, *Smak ulęgatek*, Warszawa 1980, s. 207-208.

Do połowy XX wieku i jeszcze długo później w całej Polsce powszechnie hodowane były kury rodzimej rasy, czyli zielononóżki kuropatwiane oraz przeróżne ich krzyżówki z kurami ras zagranicznych, a zwłaszcza rhode island red, leghorn i sussex. Zielononóżki to rodzima polska rasa, która swoją nazwę zawdzięcza barwie nóg. Kury są szare, natomiast ich koguty mienia się wielobarwnym, pięknym upierzeniem. Ptactwo to nie potrafi żyć w wielkich stadach, potrzebuje swobody i przestrzeni do poruszania się, posiada silny instynkt opiekuńczy w stosunku do potomstwa, cechuje je umiejętność i zaradność w wyszukiwaniu pokarmu, dobrze znosi niskie temperatury i jest odporne na choroby. Zielononóżki znoszą znacznie mniej jajek niż ich rasowe kuzynki, ale za to są one wyjątkowo poszukiwane przez smakoszy, a przede wszystkim przez dietetyków i lekarzy. Kury rasy rhode island red to niezwykle cenione



Herb szlachecki kur (kokot)



Kogut w herbie miasta Olawa

przez mazowieckie gospodynie karmazyny. Posiadają upierzenie czerwono-brązowe lub ciemnobrązowe. Zostały wyhodowane w USA. Rodowód włosko-amerykański posiadają doskonale nioski, białe kury rasy Lenghorn. Po ostatniej wojnie do Polski trafiły także kury cenionej angielskiej rasy sussex, białe z czarną grzywą, czarnymi sterówkami i lotkami. Oprócz różnych wymienionych ras, ozdobą kurzych stad były kury czarne, pstrokate (jarzębate), z czubkami itd., posiadające zarówno krajowych jak i zagranicznych przodków. Chcąc pozyskać do swojego stada takie same kury jakie posiadały sąsiadki, gospodynie wymieniały (*otmieniały*) między sobą jajka, przeznaczone do wysiadywania przez kwoki.

Jedną z pierwszych czynności, której oddawała się gospodyni po wstaniu z łóżka było... macanie kur, czyli sprawdzanie, które z nich danego dnia zniosą jajko. W tym celu należało wszystkie kury w kurniku

kolejno połapać i każdej zajrzeć pod ogon, sprawdzając palcem czy w steku ma jajko. Funkcjonujące do dziś pogardliwe powiedzenie, że ktoś potrafi (nadaje się) jedynie „*kurę macać*”, odnosi się do człowieka zajmującego się wyłącznie własnymi sprawami. Po wymacaniu kur było wiadomo, ilu jajek należy się spodziewać w danym dniu, a kiedy ich liczba nie zgadzała się ze stanem faktycznym, można było wszcząć śledztwo w sprawie poniesionej straty i przedsięwziąć środki zaradcze. Kury „z jajkiem” po wymacaniu należało oddzielić, aby mogły swobodnie zasiać w wyznaczonych dla niosek gniazdach. Fakt zniesienia jajka kura obwieszczała otoczeniu radosnym gdakaniem. Czasami z jakichś powodów kury znosiły jajka poza kurnikiem w różnych dziwnych miejscach, w końskim lub bydłowym żłobie, pod spichrzem, w kupie gałęzi na opał, itp. Takie jajka albo wysłedziła gospodyni szukając brakujących, albo padały łupem szczęściarzy,



Leluje, kurpiowskie wycinanki z motywem koguta

którzy natychmiast wypijali je na surowo, nie informując o tym fakcie nikogo, a już na pewno nie gospodynię. Na takie okazje polowały starsze dzieci i młodzież męska z gospodarzem włącznie. Jedynie małe dziecko znalazłszy jajko, zgodnie z nakazem rodzicielki zanosilo je matce. Jak istotną wagę przywiązywano niegdyś do kurzych jajek świadczy historia, która wydarzyła się wiele lat temu w pewnej mazowieckiej wsi. Trwały żniwa. Wszyscy dorośli domownicy w licznej rodzinie pracowali w polu z wyjątkiem bratowej, ogólnie nie lubianej, nazywanej Czarna Niedziela oraz dzieci. W pewnym momencie na pole do żniwiarzy wpada chłopiec i krzyczy: - *Mamo, mamo, nasza kura zniosła jajko, a Czarno Niedziela je wzięna!* Wszystkie żniwujące niewiasty porzucały sierpy i pędem rzuciły się do domu, aby



Kogut, wycinanka kurpiowska

odebrać stratę i rozprawić się z domniemaną złodziejką.

Zebrane codziennie jajka przeznaczone na sprzedaż gromadziła gospodyni w koszu wypełnionym plewami lub siewką,



Łowickie wycinanki z motywem koguta

umieszczonym w bezpiecznym miejscu. Jajka na ciechanowskim rynku sprzedawało się na mendle, czyli po 15 sztuk. Cztery mendle stanowiły kopę. Towar wieziony na rynek musiał być czysty, aby nie odstraszał klienta. Zdarzało się, że jajka z jakiegoś powodu były upačkane w kurzym łajnie lub innym brudzie i trzeba je było umyć. Taką historyjkę na ten temat, która przed wojną wydarzyła się w jednej ze wsi na obrzeżach Ciechanowa, opowiedziała Kazimiera Kawecka pochodząca z Kownat Zendowych. A było to tak: *Mieli jedni gospodarze w dzień targowy jechać na rynek do Ciechanowa i ona, znaczy się ta*

gospodyni szykuje jajka na sprzedanie. Patrzy na nie, przekłada w koszykach i widzi, że dużo jest brudnych. A tu już najwyższa pora jechać do miasta. Chłop [miał na imię Paul] już zaprzągnął konie do wozu i czeka. A ta kobieta myśli sobie: - Krzyknę na niego, żeby mi pumóg powycirać, bo jenaczy spóźnim się na rynek i jajków nie sprzedum. I krzyczy do męża: - Paul zaro jadziem do miasta, ale jajka łosrane! Paul chodź i lumyj jajka. Chodź zaro i umyj te jajka! Obok domu przechodził sąsiad i słyszał co sąsiadka krzyczy. Był z niego kawał cholery i zgrywusa, dodał jeszcze od siebie co nie bądź i rozpowiedział tę nowinę wszystkim



Łowickie wycinanki z motywem koguta

we wsi. I Bogu ducha winny Paul od tej pory miał przyzwisko „Paul umyj jajka”. Co się chłop ruszył to chłoptasie, ale i stare głupie chłopcy dokuczali mu i pytali: Paul, umyleś już jajka!

Starszym mieszkańcom Ciechanowa i okolic znany jest humorystyczna przyspiewka wykonywana przy różnych okazjach, a dotycząca handlu jajkami:

*Raz w ciemną noc niósł chłop
na targ pół kopy jaj z cebulą,
A że był mróz, a że był mróz,
to przykrył je koszulą.*

*Przyszły kobiety kupić jaj, i wcale
to nie bajka,
Więc unieś pan koszuli swej,
to obejrzymy jajka.*

Jeżeli już jajko pojawiało się na wiejskim stole, to najczęściej gotowane na twardo lub w formie jajecznicy. Jajecznicę jadano rzadko i od święta, a najczęściej wiosną, kiedy o jajka było najłatwiej. Było to także dyżurne danie podawane gościom, zwłaszcza nie spodziewanym. Potrawa ta posiadała wiele odmian, spośród których dwie wyróżniały się szczególnie, nazywane jajecznicą szlachecką i żydowską. Pierwszą przyrządzano wyłącznie



Dzbanek fajansowy, Kolo

z kurzych jaj i solidnych kawałków domowej kiełbasy lub wędzonego boczku. Jajecznice żydowską przygotowywano z jajek, do których dodawano mleko i mąkę, co pozwalało na znaczne zwiększenie masy takiej jajecznej potrawy. Wiosną niejedna gospodyni, chcąc uraczyć domowników (zwykle na kolację) i mając do dyspozycji również kacze jajka, mieszała je z kurzymi.

Jeszcze rzadziej niż jajko na wiejskim stole pojawiało się w przeszłości mięso drobiowe. Kurę i rosół jadał chłop (a także szlachcic zagrodowy) wówczas, kiedy on był chory albo kura. Bywały jednak okazje, kiedy bez rosółu nie można było się obejść. Rosół drobiowy (lub wołowo-drobiowy) od dawna należał do obowiązkowego zestawu potraw

weselnych i tradycja ta przetrwała do chwili obecnej. Rosół drobiowy podawano także zamiennie z wołowym podczas świąt Bożego Narodzenia. Mięsa drobiowego ani rosółu nie było natomiast w tradycyjnym (dawnym) zestawie pokarmów wielkanocnych. Stara polska legenda tłumaczy to wydarzeniem, które miało miejsce na Golgocie. Kiedy krzyżowano Chrystusa, obok przechodził Cygan, a ujrawszy gwoździe którymi miało być przybite ciało Zbawiciela, pospiesznie ukrył je w piasku. Przyszła jednak kura i swoimi pazurami wygrzebała gwoździe. Odtąd Cyganom wolno było bezkarnie kraść kury, a mięsa tych ptaków nie jadało się w czasie Wielkanocy. Ów „zakaz” nie dotyczył jajka symbolizującego Zmartwychwstanie i obowiązkowo pojawiającego się na stole wielkanocnym. Jednym z symboli Zmartwychwstania jest także kogut, o czym będzie jeszcze mowa.

Z rosółem związana jest zabawna historia, która miała wydarzyć się w Szulmierzu. W latach pięćdziesiątych ub. stulecia prawie w każdej jeszcze mazowieckiej wsi istniała kuźnia. Przed kuźnią zawsze gromadziła się grupka interesantów, czekających na wykonanie bieżącej usługi przez kowala. Było to zatem miejsce męskich pogawędek i politycznych dyskusji, urozmaicanych czasami łykami monopolki. Tak było i w Szulmierzu. Pewnego razu przyjechało za interesem do kuźni dwóch braci z pobliskiego Kalisza. W trakcie roboty kowal gawędził z klientami. Tematem rozmowy były wydarzenia ze świata i parafii. Było południe, a w pewnym momencie rozmowa zesłała na temat jedzenia. Bracia zaczęli wykazywać zniecierpliwienie i poganiać kowala w robocie. *A gdzie wum tak się śpieszy?* – pyta kowal. *A bo matka zabiła koguta i już pewnie czeko z łobiadem* – odpowiada jeden z braci. *Uuu...*



Talierz fajansowy, Włocławek

to bedzieta mieli lobiad jak we dworze, mięsa się naita – skonstatował kowal. A bogać tam. Rosół ima już cały tydzień, a mięso jeszcze twarde – odpowiedział drugi z braci.

Kogut to ptak wyjątkowy. Już w starożytności stał się ważnym symbolem w wielu kulturach świata. Zwiastował on początek dnia, symbolizuje m.in. nadejście światła, przewyciężanie ciemności, ogień, czujność, punktualność, gniew i męską witalność. W mitologii greckiej był atrybutem wielu bogów, m.in. Apolla, Ateny, Merkurego, Asklepiosa i Marsa. W kulturze chińskiej posiada moc odpędzania demonów i wszelkiego zła, uchodzi za uosobieniem hojności,

niezawodności i jest jednym ze znaków chińskiego zodiaku. Wg tradycji islamskiej koguta, obwieszczającego paniem że nie ma innego Boga prócz Allacha, miał ponoć usłyszeć Prorok Mahomet. W chrześcijaństwie kogut jest symbolem niestałości i zdrady, jakiej dopuścił się św. Piotr trzykrotnie zapierając się Jezusa, ale symbolizuje także Zmartwychwstania. W średniowieczu wizerunek koguta (kurka) wykutego z żelaza zaczęto umieszczać na szczytach wież katedr, kościołów i dzwonnicy. Kula wieńcząca wieżę symbolizuje wiarę, a umieszczony na niej kogut - Chrystusa Zwycięzcę nad mocami ciemności. Kurek z wieży kościelnej



Kogut z ciasta, symbol miasta Kazimierza Dolnego

obrać się zwykle na wietrze, pełniąc jednocześnie funkcję wiatrowskazu, co pozwalało ludziom znajdującym się na rzeczy przewidywać pogodę, miał także chronić osiedla ludzkie i pola przed piorunami i gradobiciem. Wiatrowskaz z kogutem miewał często chorągiewkę z wyciętą datą wzniesienia budynku, na którym się znajdował. Porównanie kogoś do kurka na dachu lub chorągiewki na wietrze oznaczało człowieka niestałego w obietnicach i uczuciach, zmieniającego często swoje poglądy. Postać koguta należy do elementów Arma Chrysti (narzędzi Męki Pańskiej) umieszczanych na krzyżach procesyjnych, krzyżach przydrożnych i pasyjkach domowych. Kogut symbolizował także ogień, stąd ogień (pożar) nazywano niegdyś „czerwonym kurem”. Puścić komuś koguta (kura) oznaczało tyle, co podpalić mu domostwo. Kogut stał się także symbolem bractw kurkowych.



Dawna wieś żyła dniem w rytmie wyznaczanym przez słońce, dzwony kościelne i ... pianie koguta, nazywanego w przeszłości *kurem* lub *kobutem*. Koguty wyznaczały godziny nocne, odzywając się trzykrotnie pomiędzy północą a świtem. Nasi przodkowie pory koguciego piania nazywali *pierwszymi kurami*, *drugimi* i *trzecimi*. Po raz pierwszy koguty zaczynały pisać po północy, drugie kury zapowiadały rychły brzask, a trzecie witały świt. Nasłuchując kogutów ludzie orientowali się, czy mogą jeszcze głęboko pospać, czy gramolić się z lubej pościeli. Wystarczyło, że odezwał się pierwszy kogut, a zaraz zaczynały mu towarzyszyć inne z sąsiedzkich kurników. Koguty bywały niezawodne przy stabilnej pogodzie, ale kiedy pogoda miała się zmienić, wówczas piał każdy po swojemu, co było także wskazówką dla ludzi, że nastanie odwilż lub ochłodzenie. Dzisiaj niezależnie od pory roku sypia się na wsi dłużej, a parę wstawania wyznacza zegar, budzik lub czasomierz w telefonie komórkowym, bo kogutów już nie ma... A jeszcze w latach międzywojennych zegar na wsi mazowieckiej był rzadkością. Marcin Kacprzak prowadzący badania terenowe nad higieną wsi płockiej w latach trzydziestych objaśniał pewnemu gospodarzowi dobrodziejstwa płynące z posiadania zegara, na co otrzymał ripostę: - *Zygar panie? A po co zygar, kobut tyż dobrze.*



Nocą koguty piał, będąc pozamykanymi w kurnikach, a w ciągu całego dnia na dworze. Zwracano wówczas baczną uwagę, gdzie pieją. Stare porzekadła mówiły bowiem, że: *Jak kur pieje na ziemi, to pogoda się zmieni* i *Jak kur pieje na grzędzie, jak było tak będzie*. Czasami zdarzyło się zapaść kurze. Fakt ten odbierany był jako zapowiedź śmierci kogoś z domowników lub z rodziny bądź innego nieszczęścia. Kogut swoim pianiem odstraszał demony, diabły, które uaktywniały się szczególnie o północy. Kiedy pierwszy kur zapał, wszelkie złe moce traciły swoją władzę. Czarnego koguta kojarzono natomiast z czarną magią. Postać takiego koguta przyjmowały czasami złe duchy, a krew ptaka o takim upierzeniu była używana w różnych rytuałach. Kogut służył także jako rumak Panu Twardowskiemu w podróży na księżyc.

W polskiej kulturze ludowej kogut jest symbolem płodności i witalności męskiej.

Istniał niegdyś na całym Mazowszu zwyczaj – dziś całkowicie w naszym regionie zapomniany - chodzenia z kurkiem w okresie Wielkanocy. Najpierw kawalerowie obchodzili wszystkie domy z żywym kogutem, później z figurą tego ptaka umieszczoną na dwukołowym wózku. Wygłaszali okolicznościowe oracje, śpiewali pieśni nawiązujące do Zmartwychwstania, składali życzenia świąteczne gospodarzom. Najzabawniejsze występy, połączone z figlami i przyśpiewkami o charakterze erotycznym miały miejsce w domach, w których mieszkały panny na wydaniu i w ogóle dziewczęta. Zwyczaj chodzenia z kurkiem korzeniami nawiązywał do przedchrześcijańskich zwyczajów agrarnych i wiązania stadeł małżeńskich. Chrześcijaństwo nadało temu zwyczajowi nowy wymiar, a kogut stał się jednym z symboli Zmartwychwstania.

Tomasz Czerwiński

Fot. internet, domena publiczna